Kociołek czarownicy

czyli
czarowne opowieści
Gminy
Strzelce Krajeńskie

Kociołek czarownicy

czyli czarowne opowieści Gminy Strzelce Krajeńskie

Strzelce Krajeńskie 2021

Kociołek czarownicy
czyli czarowne opowieści Gminy Strzelce Krajeńskie

Tekst
Mirosław Wacewicz – Legendziarz

Redakcja wydawnicza
Marek Bidol

Korekta tekstu
Irena Mańkowska

Ilustracje i projekt okładki
Kamila Pawłucka-Górecka

Współpraca
Błażej Skaziński

Opracowanie graficzne i skład
Barbara Rynkiewicz

Druk i oprawa
SONAR Sp. z o.o.
ul. Kostrzyńska 89, 66-400 Gorzów Wielkopolski
www.sonar.pl

Wydawca
Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich
Aleja Wolności 48, 66-500 Strzelce Krajeńskie
nr telefonu 95 763 11 30
e-mail:urzad@strzelce.pl
www.strzelce.pl

ISBN: 978-83-66361-14-0

Copyright© by Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich, Strzelce Krajeńskie 2021

Publikacja finansowana z budżetu Gminy Strzelce Krajeńskie

Szanowni Czytelnicy ...

... Strzelce Krajeńskie oczarowują i to dosłownie, bo stają się coraz piękniejsze, interesujące oraz przyjazne mieszkańcom miasta i gminy.

Jednym z oryginalnych sposobów poznawania historii jest wędrówka szlakiem rozmieszczonych po całym mieście czarownic autorstwa Marka Stankiewicza, które rozbudzają wyobraźnię.

Śladem udokumentowanych faktów i historycznych wydarzeń kroczą dawne opowieści i legendy. Ale czy one muszą być tylko dawne?

Mirosław Wacewicz – Legendziarz jest autorem „Kociołka czarownic ...” i zamieszczonych w nim dwudziestu trzech utworów. Inspirację do nich czerpał ze źródeł pisanych i miejsc, które odwiedził , a one w swoisty sposób rozbudziły Jego twórczą wenę. Autorką ilustracji jest znana społeczności strzeleckiej (i nie tylko) Kamila Pwałucka-Górecka.

(Więcej informacji o Autorach przeczytacie Państwo w notatkach biograficznych na stronie 72).

Przed Państwem więc ciekawa lektura do czytania i oglądania.

Mateusz Feder

Burmistrz Strzelec Krajeńskich

Podziękowanie

Wielkie podziękowanie składam Panu burmistrzowi – Mateuszowi Federowi, jako gospodarzowi, za wspaniałą gościnę, podczas mojego pobytu w Strzelcach Krajeńskich. Dziękuję za wszelkie materiały, publikacje, pomocne podczas pracy nad opowieściami.

Szczególne podziękowanie składam Panu Markowi Bidolowi za pokazanie uroków strzeleckiej ziemi. Dziękuję za inspiracje i wielkie wsparcie w czasie, gdy tworzyłem.

Dziękuję czarownicom za to, że mnie oczarowały i dały mi natchnienie.
Dziękuję…

Mirosław Wacewicz – Legendziarz

Zamiast wstępu

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, rzekami, dolinami… - czyli gdzieś bardzo daleko w Baśniowej Krainie… Ale czy na pewno?…

Dawne to dzieje, gdy Paul Müller chodził uliczkami Strzelec, które wówczas zwały się Friedeberg. Rozmawiał z ludźmi, zapisywał, notował legendy i zwyczaje mieszkańców, by ocalić je od zapomnienia. Dzięki temu człowiekowi znamy to, co było dawniej…

Wiele się zmieniło od tamtych czasów. Odeszli dawni mieszkańcy. Na ich miejsce przybyli nowi osadnicy. Każdy miał swój bagaż pełen trosk, radości i nadziei. Znikły dworki, pałace a wraz z nimi stare duchy. Powstały nowe domy i osiedla, których gospodarze mieli własne marzenia oraz nowe historie do opowiedzenia.

Poznając historię Strzelec, uczone księgi czytałem. Wiele wędrowałem, słuchając, o czym szepcze natura. Pod każdy kamień zajrzałem, szukając śladów karzełków. Z rusałkami pląsałem nad brzegami pięknych jezior i na leśnych polanach. Siadałem pod wielkimi dębami, szukając w ich cieniu ochłody. Głowę wtulałem w spękaną ze starości korę, słuchając wiatru zaplątanego w potężnych konarach. Wszędzie odkrywałem piękno, które mnie urzekło. Czarownice na sabat swój mnie zaprosiły, bym mógł bawić się z nimi. Sekrety różne wówczas mi zdradziły i tak mnie oczarowały, że spisywać zacząłem wszystko, co poznałem. Tak powstały opowieści, które w tej książce się znajdują. Najlepiej inspiruje przyroda, bo ona jest najlepszą gawędziarką i nauczycielką…

Baśniowa Kraina jest blisko nas, nie musimy jechać za siódmą górę, rzekę, wystarczy wyjść z domu i uruchomić wyobraźnię, a mogą nam się zdarzyć magiczne przygody… Może też dopiszecie własne historie, które w legendy się przerodzą i będą przekazywane przez następne pokolenia.

Życzę miłej lektury i chęci poznawania tego, co ukryte…
Do zobaczenia na szlakach legend.
Pozdrawiam serdecznie.
Mirosław Wacewicz – Legendziarz

Wiolonczelistka

„Prześliczna wio, wiolo, wiolonczelistka la la la
Prześliczna wio, wiolo, wiolonczelistka
Jej oczy lśnią la la la la, jej usta drżą la la la la
Gdy dłonią swą la la la la struny przyciska ...”

Idąc uliczkami Strzelec, zanucić możecie ten refren piosenki Skaldów, którą znała przed laty cała Polska. Może się zdarzyć, że spotkacie ją, bo skromnie przysiadła na schodach w pobliżu szkoły muzycznej. Jak to się stało, że ona tam się znalazła, poniższa historia wyjaśnia.

Był już wieczór, z magiczną chwilą, gdy dzień jeszcze walczy z nocą. Ostatnie promienie słońca nie sięgały już zakamarków, z których wolno wypełzały cienie, zakrywając wszystko. Jeszcze zorza czerwienią na niebie rozbłysła, nim na dobre zapanował mrok. Koty na łowy wyruszyły. Nie rozróżnisz ich barwy, gdyż w nocy one są jednako czarne.

Na niebie księżyc srebrzył się w pełni, a gwiazdy zostały już odkryte. Na żer wyleciały nietoperze. Nastała piękna czerwcowa noc, pachnąca obietnicą lata i wakacji.

W górze, wysoko tak, że ludzkie oko nie dojrzy, leciała czarownica. Mając wzrok bystry, widziała dokładnie, co na dole się dzieje. Jej doskonały słuch pozwalał wyłowić najcichsze dźwięki. Słyszała wszystko wokoło - ciche wyznania młodych kochanków, ostatni pisk myszy złapanej w szpony przez sowę.

Nagle, lecąc nad Strzelcami Krajeńskimi, przyhamowała miotłę i zawisła w powietrzu. Wyraźnie słyszała czarowne dźwięki Big Bandu. Urzeczona, lot swój obniżyła i zawisła nad Skwerem Jerzego Bywalca. Oczarowana muzyką chwilę trwała bez ruchu, łowiąc ulatujące nutki, następnie z gracją wylądowała. Zawoalowana ciemnością nie była widziana przez ludzi. Wiedźma przysiadła na ławce muzycznej i tak zasłuchana zastygła.

Czarny kot, przechodzący w pobliżu, swym wzrokiem przeniknął wszelkie zasłony i dostrzegłszy siostrzycę podszedł do niej dziarskim krokiem z wysoko podniesioną kitą. Wskoczył jej na kolana i cicho zamruczał na przywitanie magiczną melodię. Czarownica z uśmiechem pogłaskała nocnego łowcę, który prężył się zadowolony z pieszczoty. Po chwili, jakaś fałszywa nuta sprawiła, że cały nastrój pękł jak przekłuty bęben.

Wiedźma swym bystrym wzrokiem przejrzała okolicę, by dojrzeć sprawcę tych fałszów i już po chwili wiedziała, co zaszło. Ujrzała uczniów klasy pierwszej pobliskiej szkoły muzycznej. Młodzi ludzie, choć w ciągu roku szkolnego opanowali grę, wciąż jeszcze wiele musieli się uczyć i ćwiczyć, by dojść do perfekcji. Uśmiechnęła się do swych myśli i cichutko podeszła bliżej szkoły. Usiadła na schodach i, przedzierzgnąwszy swą miotłę w wiolonczelę zagrała, czarując muzyką, by wspomóc dzieci w nauce.

Od tej właśnie chwili, możecie mi wierzyć, Prześliczną Wiolonczelistkę na tych schodach spotkacie.

Podobno, czasami zachodzi do szkoły, choć różne postacie przybiera. Może być nauczycielką lub uczennicą i nikt nie wie, że to czarownica. Sekret wam zdradzę jak można ją rozpoznać, lecz wiedzcie, że to wielkiej odwagi wymaga.

W majowy wieczór, nim zmrok zapadnie, tajemniczej dziewczynie spójrzcie głęboko w oczy, gdy wzrok wasz się skrzyżuje, musicie wytrzymać jej spojrzenie. Wówczas, ostatni promień słońca padnie na jej źrenice, ujawniając prawdę. Jeśli dojrzycie fiołkową barwę jej oczu, wiedzcie, że czar działa.

Jak wieść gminna niesie, w najkrótszą noc roku, Wiolonczelistka czarowną muzykę wygrywa, która jest jak Sen Nocy Letniej. Chwyta za serce, bo choć jej instrument strun nie posiada, gra na uczuciach niczym wirtuoz, sprawiając, że nawet Ojciec Czas, przechodząc obok, przystanie na chwilę zasłuchany. Obetrze swą długą siwą brodą łzę, uronioną ze wzruszenia, westchnie cicho i pójdzie dalej. Przecież on nie może stać w miejscu.

Trucicielka

W ciemnym borze, wśród mokradeł, chatka samotna stała. Przed nią płonęło ognisko. Nad ogniem w kociołku war się gotował, bulgocząc i parując. Czarownica przy nim była i zły czar warzyła…

- Gałązka cisu, kropelka jadu węża, piołun, mięta i czarnucha - czarownica wciąż dokładała odpowiednie składniki, dokładnie wszystko mieszając.

- Macierzanka, tymianek, jaskółcze ziele, hyzop lekarski, biała ruta - kobieta cierpliwie wrzucała następne zioła, by burmistrz drżał jak liść osiki i w konwulsjach skonał.

- A mogłam inny eliksir przyrządzić, by miłość i szczęście rozkwitły - wiedźma śmiała się do siebie, wciąż obserwując bulgotanie płynu.

Od pradziejów żyły wśród ludzi różne znachorki, wiedźmy, szeptuchy i inne kobiety tajemną wiedzę posiadające. Zbierały zioła w odpowiednim czasie i miejscu, by różne mikstury przyrządzić. Wiedziały, jakie trawy dodać należy, by jedzenie było smaczniejsze. Z różnymi chorobami sobie radziły. Jako położne, wiele przyjęły na świat noworodków. Wiedziały także, że zioła mogą nieść miłość, leczyć boleści i przypadłości ludzkie, lecz inaczej użyte, rychłą śmierć sprowadzały, jako potężne trucizny. Wiedzę miały niebezpieczną, której ludzie się bali.

Jako czarownice, odsądzane od czci i wiary, były męczone i palone na stosach … Smutna to i tragiczna historia, o której tutaj jednakże nie będę prawił, gdyż nie miejsce na to. Opowiem o wydarzeniach, które rozegrały się w mieście Friedeberg (obecnie Strzelce Krajeńskie). Dla wygody czytelnika, będę używał polskiej nazwy miasta.

W Strzelcach, dawno, dawno temu, żyła pewna kobieta. Jej domek stał niedaleko średniowiecznych murów miejskich. Mieszkała samotnie, bowiem jej mąż umarł. Kobieta radziła sobie jak mogła, by zarobić na swoje utrzymanie. Za drobną zapłatę często pomagała w wychowaniu dzieci. Parę kurek, które znosiły jajka, wymieniała na potrzebne produkty. Zbierała zioła na łąkach i suszyła je, wieszając u sufitu.

Zdarzyło się razu pewnego, gdy nabożeństwo się skończyło, że burmistrz wychodząc z kościoła spojrzał na nią. Serce jej, od tego wejrzenia, zabiło mocniej. Od tej też chwili szukała okazji, by go widywać, bowiem miłość w niej rozgorzała. Ileż czasu to trwało, nikt nie odgadnie, bo zakochanej osobie czas inaczej płynie.

Piękny poranek nastał, tego dnia, gdy kobieta zdobyła się na odwagę, by wyznać swe uczucie oblubieńcowi. Czekała na niego w pobliżu bramy, która wiodła na Gorzów. Wiedziała, że właśnie w tym miejscu i o tej porze, może spotkać burmistrza. W rękach trzymała bukiet polnych kwiatów, zebranych o brzasku i skąpanych w porannej rosie. Pomiędzy kolorowe kwiecie powtykała różne zioła wzbudzające miłość: lubczyk, serdecznik, lebiodkę, koszyczko i inne… Kobieta wierzyła, że zapach tych ziół oraz jej piękny uśmiech i szczere wyznanie sprawią, że mężczyzna, którego miłuje, przychylnie spojrzy na nią. Wystroiła się na tę okazję w najpiękniejsze szaty i z drżącym sercem wyczekiwała stosownej chwili.

Ujrzała go z daleka i on także ją dostrzegł. Nie było już odwrotu, czas jakby zwolnił bieg. Podeszła do ukochanego śmiało, nie zważając na to, że za nim idą rajcy i inni wielmoże.

- Kocham pana - nieśmiało rzekła, wręczając bukiet.

Burmistrz zaskoczony sytuacją, stanął oniemiały. Odruchowo wyciągnął ręce, by przyjąć kwiaty. Nastała cisza, bowiem poranne ptaki w tej chwili nie ośmieliły się rozpocząć swych treli.

- Ha! Ha! Ha! - zaśmiał się szyderczo urzędnik i pchnął mocno niewiastę.

Zdeptał miłość, którą wcześniej ze wzgardą odrzucił. Nagle panującą dotąd ciszę, przerwał trzask pękającej gałęzi, która upadła z hukiem. A może był to głuchy odgłos pękającego serca?… Miłość, jest siostrą nienawiści, bowiem z jednej matki te uczucia są zrodzone.

Rada Miejska niebawem uchwaliła, że kobieta, która śmiała wyznać miłość burmistrzowi, ma być wydalona z miasta. I tak się stało.

W ciemnym borze, wśród mokradeł, chatka samotna stała…. Czarownica tam była i zły czar warzyła…

Któregoś razu w przebraniu, wróciła do miasta, dzierżąc w ręku wcześniej uwarzony eliksir. Przekradła się do ratusza i wlała miksturę do dzbanka, z którego tylko burmistrz miał zwyczaj pijać. Cały plan, który wcześniej poczyniła, zdawał się układać w całość. Traf chciał, że stróż nocny, wracając nad ranem z szynku, napił się z tego dzbanka, więc cała zemsta spaliła na panewce. Rejwach się zrobił wielki, gdy odnaleziono go leżącego w boleściach pod ławą. Medycy, dołożyli starań, by przywrócić go do życia.

Po tym zdarzeniu w ratuszu wszczęto postępowanie i powołano komisję, która orzekła:

„Rada Miejska postanowiła, niżej wymienione kobiety aresztować i oddać w ręce mistrza małodobrego w celu przesłuchania". Wskazano więc

Gerdę Becker, Zofię Monnich z Przyłęgu, Elsę Presken i Annę Strebelow ze Strzelec. Kobiety te, podczas tortur w trakcie przesłuchania, podały nazwiska kolejnych zielarek, by oszczędzono im cierpienia. Wszystkie 1 maja 1587 zostały spalone na Górze Wisielców.

Jedna z tych czarownic przysiadła sobie cichutko, pod pompą naprzeciwko Urzędu Miejskiego w Strzelcach Krajeńskich. W jednej ręce trzyma dzbanek z wodą, w drugiej uwarzony eliksir i uśmiecha się miło. Jaką to miksturę kryje w sobie mały dzbanuszek? Czy znajdzie się śmiałek, który ją spróbuje?

Z tej legendy nauka płynie. Pamiętajcie, nie okazujcie wzgardy zakochanej osobie.

Artemida

Stoi pod choinką w mieście Strzelce się zwącym, pewna łowczyni. Łuk dzierży w dłoni. Na plecach ma kołczan, pełen ostrych strzał, które rychłą śmierć nieść mogą. Pies przy niej wiernie waruje. Ona na coś czeka, kogoś wypatruje. Uważajcie więc przechodnie, byście nie stali się celem tej bogini. Przystańcie na chwilkę w swym pędzie i posłuchajcie historii Artemidy, która w czarowny sposób została czarownicą…

Artemida, znana z lektur szkolnych, bo mitologia grecka przerabiana jest w szkole przez uczniów. Nie będę więc przedstawiał jej życiorysu. Każdy wie, że ona była boginią: łowów, zwierząt, lasów, gór i roślinności. Ta postać ma jeszcze wiele cech, ale o nich nie będę pisać…, bowiem znajdziecie to wszystko także w internecie. Bardziej dociekliwi zaś, którzy cenią tradycyjne książki, wszystko doczytają w dziełach, np. Jana Parandowskiego.

Ja będę rozwodzić się o innych dziejach, których w tych lekturach nie ma.

Powszechnie wiadomo, że Artemida, po tym jak Rzymianie podbili Grecję, zeszła z Olimpu i przyjęła imię Diana. Później bywało różnie, bo wędrowała wśród „barbarzyńców", więc musiała się ukrywać.

Do tego, greckiemu Erosowi, (który u Rzymian zwał się Amor, Kupidyn), podmieniła strzały. I od tej też pory rozpoczęły się - do dziś trwające - miłosne perypetie.

Skrzydlaty amorek rozsiewa miłość, ale czasami łapie w rękę strzałę Artemidy. Wówczas sięga ludzi strzała dręczącej miłości, więc przez to wszyscy „romantyczni kochankowie" przeżywają męki.

Wielka Łowczyni zaś, bo odbiegłem od tematu, miewała się dobrze, bo wszelkie ludy, do których zawędrowała, wielbiły myśliwych, więc także ją.

Zdarzyło się kiedyś, gdy dotarła na północ, że pewna kraina ją oczarowała. Jeziora szmaragdowe, moczary, lasy i mateczniki sprawiły, że przypomniała sobie o nimfach, z którymi kiedyś w głębinach pluskała…

Wówczas to, mocą tajemną, znaną tylko bogini, zmieniła się w czarownicę. Ponoć, jak dawne prawią klechdy, pomagała przy łowach tym, którzy władali tymi ziemiami. Mimo, że broń palna była używana przez wszystkich, ona tylko za pomocą łuku polowała. Zawsze budziła zdziwienie i podziw, gdy okazywało się, że jej strzały są celniejsze niż kule.

Ach, zapędziłem się bardzo w tej opowieści, bowiem urocza z tej Artemidy dziewczyna. Proszę, miejcie czujność, wy którzy przechodzicie skwerem różanym w Strzelcach Krajeńskich, bo powinniście wiedzieć, że strzała z jej ręki wypuszczona, rychłą śmierć lub miłość nieść może…

Złote karzełki

Złoto, już samo brzmienie tego słowa sprawia, że wielu ludziom zaczynają błyszczeć oczy, wywołując niebezpieczną gorączkę. Kruszec ten wywarł wielki wpływ na historię ludzkości. Za jego sprawą powstawały i upadały imperia. Człowiek od wieków poszukiwał różnych sposobów, by zwykłe metale przemienić w złoto. Były jednak istoty magiczne, które znały tajemnicę pozyskiwania szlachetnych metali. Z wielu baśni, legend z całego niemal świata możemy poznać historie o krasnoludkach, koboldach, skrzatach lub innych podobnych istotach. W okolicach Strzelec określano je mianem – złote karzełki, ponieważ wieczorem miały w zwyczaju nad tlącym się ogniskiem złoto w wielkich garach warzyć.

Dawno, dawno temu, teren pomiędzy Kurowem a Gardzkiem zwano „Złoty Łęg", gdyż właśnie tutaj mieściło się królestwo owych tajemniczych ludków. Ludzie, mieszkający w ich sąsiedztwie, nie mieli łatwo, gdyż skrzaty te były psotnikami i często okolicznym gospodarzom płatały różne figle. Zdarzało się, że gospodyni, która zamiast gotowaniem zajęła się plotkami, odkrywała, że z garnka znikał kawał mięsa, a zamiast niego znajdowała stary but lub inne obrzydliwości. Zaplatały koniom grzywy i ogony, chowały różne sprzęty nieuważnym i leniwym. Ich żarty były niegroźne. Ludzie przywykli do nich i z czasem sami spostrzegli, że pracowitym i uczciwym gospodarzom skrzaty sprzyjają, nieraz nawet ich wspierając. Bywało czasami, że ktoś będący w potrzebie, znajdował na swej drodze złoty pieniądz, który sprawiał, że jego los się odmieniał na lepszy. Należało więc podnieść złoto i nim się schowało do kieszeni, chuchnąć nań i skłonić się w podziękowaniu. Kto tego nie czynił, ten rychło się przekonywał, że złoto, z którego tak się cieszył, zmieniło się w zwykły kamień. Okoliczni mieszkańcy dobrze wiedzieli co robić, by zachować przychylność złotych karzełków. Każdy obdarowany musiał wieczorem w pobliże ich jamek przynieść świeżo upieczony bochenek chleba oraz dzbanek mleka, by w ten sposób okazywać wdzięczność skrzatom. Kto tego nie czynił, ten już nigdy nic od nich nie otrzymał.

Mieszkańcy wiosek, graniczących z terytorium zajmowanym przez złote karzełki, zżyli się z nimi i nawet ich psoty im nie wadziły. Zawsze przestrzegali przybyszów, by nie niszczyli norek, w których mieszkały skrzaty i krzywdy im nie wyrządzali. Zdarzyło się jednak razu pewnego, że młody gospodarz, który właśnie wprowadził się do Gardzka, śmiał się z rad starszych. Mimo przestróg, ruszył na łąkę i zaczął rozkopywać wszystkie jamki, które napotkał. Przekopując kolejną norkę poczuł, że łopata uderzyła w coś twardego. Uklęknął i dalej już rękoma ziemię odgarniał. Gdy odrzucił ostatnią garść piasku, ujrzał kociołek pełen złotych monet. Człowiek na ten widok oniemiał. Prędko jednak doszedł do siebie i zachowując „zimną krew", przysypał wszystko ziemią, by wieczorem wrócić po skarb . Tak też uczynił, jak postanowił, nic nikomu nie mówiąc.

W skrytości, by nikt go nie ujrzał, przyniósł garniec do chaty. Pozamykał wszystkie okiennice i zaryglował drzwi. Dopiero wówczas mógł nacieszyć się bogactwem. Liczył monety, przekładał z ręki do ręki, podrzucał, słuchając dźwięków jakie wydają, upadając. Zmęczył się przy tym bardzo. Nim do snu się ułożył, garniec umieścił w skrzyni, w której przechowywał cały swój majątek. Zatrzasnął wieko i zamknął na kłódkę, a klucz powiesił na szyi. Zabezpieczywszy skarb, mógł dopiero spokojnie zasnąć.

Gdy wybiła północ, złoto schowane w skrzyni zmieniło się magiczną mocą w rozżarzone węgle. Od gorąca cała zawartość kufra spłonęła. Młody gospodarz też został rychło pożarty przez płomienie. Żywioł wnet rozprzestrzenił się na całe domostwo, spopielając wszystko. Nie było szansy, by ugasić pożar i uratować mieszkającego tam człowieka. Długo o tym zdarzeniu rozprawiano w Gardzku i okolicy. Wszyscy szeptali wieści, że była to zemsta złotych karzełków za zniszczenie ich domostwa.

Minęło wiele pokoleń od opisanych zdarzeń. Niewielu było takich, którzy słyszeli od dziadków tę smutną historię. Miejsce, w którym stała chata, dawno zarosło drzewkami, że śladu nie pozostało. Czasami ludzie wspominali w karczmie o duchu pogorzelca, który błąka się w bezksiężycowe noce po okolicznych łąkach. Nie pamiętano czym zawinił ów nieszczęśnik, że musi tak pokutować na tym łez padole. Nieliczni jednak pamiętali jeszcze o złotych karzełkach i wspominali czasy, że złoto znajdowano na drogach i polach.

Właśnie ten kruszec najtrwalej wrył się w pamięć ludzką sprawiając, że wszystkie inne historie straciły swój blask. Bywało, że niektórzy ludzie nadal znajdowali ten skarb. Wieści o takich zdarzeniach rozchodziły się szybko i nie tylko w najbliższej okolicy. Z czasem, sensacja o odkryciu złotodajnej żyły w pobliżu miasta Friedeberg, dotarła na dwór elektorów, Jana Jerzego oraz Joachima Fryderyka. Władcy zawsze łaskawie nadstawiają ucha na takie nowiny licząc, że będą mogli szybko zapełnić skarbiec. Wkrótce wysłano misję poszukiwawczą, na czele której stanął Leopold Thumeyßer. Był on lekarzem, zajmującym się popularnymi w tamtych czasach dziedzinami, jak: alchemia i astrologia.

Alchemik do pomocy w poszukiwaniu szlachetnych kruszców sprowadził specjalistów z Czech. Ekipa ruszyła w teren zaopatrzona w specjalnie sporządzoną do takich poszukiwań czarodziejską różdżkę. I już po pierwszych próbach znaleźli czerwoną ziemię, dopatrując się występowania w niej złota i srebra.

Rozpoczęto wielce obiecujące poszukiwania. Pierwszego dnia, znaleziono wiele bogato skrzących się samorodków. Wieczorem ogłoszono sukces, by nad ranem przekonać się, że zostały po nich same kamienie. To złote karzełki - swoim zwyczajem - zabawiały się kosztem szacownych poszukiwaczy, nieustannie płatając im różne psikusy. Przez długi czas skrzaty wodziły chciwców za nos, odciągając ich coraz dalej i dalej od własnych siedzib. Przekopano więc wzgórza w okolicznym Starym Kurowie, aż po drogę prowadzącą do Strzelec. Magia złotych karzełków sprawiła, że szacowny alchemik ze swoją ekipą musiał zakończyć poszukiwania i wrócić na dwór swego władcy, by zdać sprawozdanie. Prócz masy kamieni, Leopold nic więcej nie znalazł.

Od tamtej pory już nigdy w tej okolicy nie widziano złotych karzełków. Z czasem wszelki słuch o nich zaginął. Pamięć ludzka się zatarła tak, że dziś już nikt nie pamięta o tych magicznych istotach. Podobno skrzaty te opuściły już ludzki świat i przez specjalny portal udały się do Krainy Baśni i Legend. Tam pośród wzgórz, gdzie cwałują jednorożce i inne magiczne istoty, mieszkają i mają swoje norki, w których produkują złoto. Ale czy na pewno?...

Wędrując czerwonym szlakiem, wygodną leśną drogą docieramy do śródleśnej wsi Rokitno. W niej możemy odpocząć i nabrać sił do dalszej drogi w miejscu specjalnie do tego przygotowanym. Gdy ruszymy dalej, ujrzymy po niedługim czasie zabudowania leśniczówki o tajemniczej nazwie Złotawa. Jest to ostatnie miejsce, które swoją nazwą przypomina o historii „Złotego Łęgu". Ponoć, mieszka w pobliżu tej leśniczówki ostatnia rodzina złotych karzełków, która postanowiła zostać z ludźmi. Czasami można ujrzeć, jak promienie słońca, złotymi kolorami malują okolicę, sprawiając że wszystko mieni się i błyszczy. Wspaniały to widok, który sprawia, że każdy kto go ujrzy, już zawsze będzie wspominał tę jedną magiczną chwilę. Wówczas to karzełki wyjmują swój wielki gar i na dogasającym ognisku znowu warzą złoto.

Waśnie w świecie baśni

Czy to jest możliwe, by wśród legend i baśni doszło do waśni? By elfy ze skrzatami wojnę toczyły? By wodnik, dziwożonę chciał utopić? By diabły polskie z niemieckimi się biły, a inne duchy za łby się brały? Rzecz to dziwna. A jednak czasami może dojść do zawirowań w magicznym świecie, a z tego wynikają różne niesnaski. Tak właśnie się zdarzyło pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku.

Druga wojna światowa dobiegła końca. Świat został obrócony w ruinę. Rozlało się morze nieszczęść i tragedii ludzkich. Wielcy tego świata usiedli nad mapą i postanowili…

Ruszyły wagony, wioząc ludzi w różne strony z ich bagażem cierpień, radości, przyzwyczajeń oraz obaw. Jechali w nieznane, licząc że przychylny los będzie im sprzyjał. Nie wiedzieli jeszcze, że wśród dobytku zabrali także pasażerów na gapę. Ziemie Odzyskane opuszczali dawni mieszkańcy, na ich miejsce przybywali pionierzy z różnych stron dawnej Rzeczypospolitej. Ludźmi zajęli się wyznaczeni urzędnicy, przydzielając miejsce zasiedlenia. Duszki zaś będące z nimi, musiały sobie radzić same.

Zdarzyło się to pewnego razu gdzieś, w obecnej gminie Strzelce Krajeńskie.

W jednym z dworów, nie wiem jakim, bo było ich wiele, doszło do spotkania społeczności różnych kultur i narodowości. Dodam tylko, że duchy i im podobne istoty potrafią porozumiewać się wspólnym językiem.

- Won!... - krzyknął wielce oburzony duch barona. - Gdzie mi pospólstwo będzie pchać się na salony.

- Myśmy, ubożęta swojskie, domowe my duchy. Przyjmij nas prosimy, miłościwy panie. Za piecem siądziemy, gdzie ciepło, przytulnie. Wiele nie żądamy, a dbamy o wszystko. Pokornie się kłaniając, błagały małe niebożęta.

- Zgubiliśmy gospodarzy i błąkamy się po bezdrożach.

- Nein! - jakem von (pominę nazwisko).

Nie wiedziały wówczas te domowe duszki, że to był duch przeklęty, których wszędzie pełno. Nie ma tu znaczenia jego narodowość, ale w pruskim mundurze zwykł on paradować.

To był pretekst i iskra zapalna, która padła na podatne podłoże. Ubożęta poskarżyły się swojakom, z którymi przybyły. Zawrzała ferajna i to ich wówczas zjednoczyło. Wodniki, utopce, topichy i chlapy zanurkowały wkrótce w najbliższe akweny. Do tego na rozstajnych drogach, Diabeł i der Teufel się spotkali. Rogami bóść się zaczęli, wzbijając kurz kopytami. Walczyli zaciekle aż powstał wir powietrzny. A rusałki i wiły ruszyły na łowy, szukając miejscowych młodzieńców. One wszelkie duszki wabiły, by łaskotaniem je unicestwiać.

Ach, działo się wiele, że trudno opisać. Krasnoludki i skrzaty też nie próżnowały.

Z tych zamieszek i magicznych utarczek był ambaras wielki, bowiem działo się to w świecie przyrody. Chmury bez swych pasterzy - płanetników zwani chmurnikami - pływały swobodnie, wciąż zasłaniając słoneczko, którego promienie nie dotykały ziemi. Zdarzało się w tym czasie, że w lipcowy dzionek, z chmurek śnieg sypał. Nie wspomnę tu o gradobiciach niszczących wszelkie zasiewy i niweczących plony. Jeziora, oczka wodne i rzeczki wystąpiły z brzegów. Woda pod ludzkie domostwa podchodziła. Wodniki różnych ras za łby się brały, zagarniając nowe terytoria. Pomieszało się wszystko, wiosna była zimą, zima na wiosnę przybyła, zaś lato nie mogło się zdecydować i za jesienią się skryło.

Ludzie, jak zwykle, nic nie zauważyli, więc wprowadzali nowe reformy. Może gdzieś w protokołach zostały zapisane te kataklizmy, a pan referent na posiedzeniu gminnym skrupulatnie je spisał:

- Dnia takiego i takiego… tego nie wiem, bo to jest już zadaniem archiwisty, który zbada akta z tamtych czasów.

Niebawem wszystko się odwróciło.

Miarka się przebrała, bo wmieszały się w tę awanturę bóstwa wyższego rzędu, jednakowo wszystkich rażąc gromami. Perun i Thor bili piorunami. Także św. Eliasz, za Boga Wszechmocnego przyczyną, nie próżnował, śląc na zwaśnione duszki i demony swoje błyskawice. Wszelkie istoty magiczne pochowały się, gdzie tylko mogły, nie zważając, kogo mają w kryjówce za sąsiada. Ludzie także w tym czasie siedzieli w domach, bojąc się wychylić nos na dwór. Zanosili modły do Boga, każdy w swoim języku.

Nagle, zgromione dotkliwie istoty, zaprzestały swych swarów. I w blasku błyskawic wszyscy postanowili, że czas najwyższy się pojednać. Przebrzmiały gromy. Wreszcie nastał pokój.

Zeszli się gromadnie, by do narady zasiąść. Spotkanie rozpoczęli we dworze w Dankowie. Później się przenieśli, bo obrady były burzliwe tak bardzo, że czasami jakaś cegła się wykruszyła, więc obiekt groził zawaleniem. I tak się przenosili, goszcząc w różnych dworach, aż poniszczyli wszystko w okolicy. Bo gdy ducha zabraknie w obiekcie historycznym, zostaje tylko kamienna skorupa. Do tego ludzie nie próżnowali i rozbierali zabytki na swoje budowle.

Ale o tym, co ludzkiej strony dotyczy, będę mówił później.

Duchy zasiadły wreszcie przy kamieniu, przyniesionym przez lodowiec. Bowiem tego tworu nie mogły zniszczyć, który natura stworzyła.

Zdarzyło się swego czasu przy głazie, który dziś Leżący Słoń się nazywa, że wreszcie wszyscy doszli do porozumienia. A jak to się odbyło, o tym opowiem.

Rolę gospodyń pełniły miejscowe czarownice. Pomagały im chętnie wszystkie szeptuchy, wiedźmy i inne siostrzyce. One wspólnie wszystko przegotowały i pilnowały wśród gości porządku. Przybył też Boruta, wojewoda piekła polskiego, odziany w bogaty kontusz. Przybył również Mefisto i Doktor Solfernus z całą zgrają pomniejszych diabląt. Świątek przydrożny, strudzony wielce, przysiadł na boku, przysłuchując się obradom. Nawet spracowana kostucha kosę odłożyła, bowiem przez ludzką wojnę ostatnimi czasy miała wiele roboty. Westchnęła cichutko, prostując kości i korzystając z chwili spokoju, ogrzała się przy magicznym ognisku. W wielkim pędzie, tak jak zwykle, wpadł też nocny łowca. Za nim w galopie, rwąc z kopyta, zajechał jeździec bezgłowy. Coś tam razem powiedzieli, ale nikt ich nie zrozumiał, bo wiatr za nimi huczał i porywał słowa.

Wiele jeszcze demonów i duchów na tych obradach się pojawiło, kładąc kres waśniom. Nim kur zapiał, wszyscy doszli do porozumienia i ugodę podpisali. Czas już był najwyższy, bo koguty swym pianiem powitały wstające słońce.

- Kukuryku, kukuryku, kukuryku, - piały w całej okolicy, przeganiając wszelkie nocne mary. Nowy dzień się budził, a z nim wielkie zmiany. Od tej chwili, duchy różnych kultur połączyły swe siły, by przetrwać czasy, które miały nadejść.

Jezior i wszelkich oczek wodnych w gminie Strzelce Krajeńskie jest wiele. Wszystkie więc wodniki i inne istoty tego żywiołu znalazły miejsce dla siebie. A w lasach, wśród zarośli i mateczników dobrze się ukryły różne leśne duszki. Odtąd diabły - już wspólnie - kusiły na rozstajnych drogach i zamieszkały w rosochatych wierzbach. W domostwach i obejściach dobre duszki pomagały gospodarzom za kilka okruszków i spodeczków mleka. Również ludzie, wprowadzając swoje zmiany, nie próżnowali.

Niestety, rozebrano okazałe dwory, folwarki i inne budowle. Toteż stare zasiedziałe duchy zostały porwane przez wiatr historii. Niektóre przeniknęły w stare cegły i kamienie zamieszkanych przez nie domostw. Zdarza się czasami, że ludzie, którzy z materiałów pochodzących z rozbiórki, pobudowali różne budynki, skarżą się, że drzwi same się odmykają, coś zaskrzypi cicho lub dochodzą ich dziwne odgłosy. To właśnie dają znać o sobie tamte duchy. Jednak z biegiem czasu, coraz ciszej i ciszej…

Nastała epoka człowieka, pełna elektroniki i innych wynalazków. Duchy musiały się przystosować lub odejść w zapomnienie. Diabły, swoim zwyczajem, znalazły sobie miejsce, zmieniając listę pokus, by mamić człowieka. Wodniki, zagrzebane w mule, czasem kogoś utopią. Niekiedy licho w lesie sprawi, że drogi pogubimy i błąkać się będziemy, mimo zainstalowanego w telefonie GPS-a. Wiele się dzieje spraw, których my swym rozumem nie ogarniamy.

Na koniec tej opowieści zadam pytanie, na które trzeba odpowiedzieć sobie samemu. Czy ktoś w dzisiejszych czasach, wierzy jeszcze w istoty z baśni?

Strażniczka domowego ogniska

Z popielnika na Wojtusia
Iskiereczka mruga.
Chodź opowiem ci bajeczkę
Bajka będzie długa.

Żyła sobie czarownica
Stała na kominku.
W mieście Strzelce to się działo
Pst…, iskierka zgasła.

Był piękny wakacyjny wieczór, gdzieś nad urokliwym jeziorem jakich pełno w gminie Strzelce Krajeńskie.

Ognisko płonie, ktoś gra na gitarze, młodzi ludzie razem śpiewają pieśni, które w dal wiatr unosi. Ach, któż nie ma takich wspomnień z wakacyjnych biwaków, gdy ogień wszystkich jednoczył. Ileż uczuć rozgorzało w takich chwilach płomieniem wielkim i gorącym, sprawiając, że w jeden płomień się scaliły dwa serca, by w jedności bić… Czary to wielkie, przedwieczne, zrodzone w ogniu miłości...

Ogień, to jeden z najpotężniejszych żywiołów. Od chwili gdy Perseusz wykradł go bogom, wciąż nam służy. A, jak naprawdę z ogniem było?…

Dawno, dawno temu, u zarania dziejów ludzkości, piorun uderzył w drzewo, wywołując pożar. Ludzie, początkowo uciekali ogarnięci trwogą przed ogniem, tak jak wszystkie zwierzęta. Z czasem ten żywioł oswojono. Od tego okresu, nastąpił szybszy rozwój człowieka. Ogień, stał się orężem w walce z otaczającą przyrodą, ale i chronił, ogrzewał oraz dawał strawę. Niepilnowany, wymykał się, czyniąc wielkie spustoszenia. Tak narodziła się funkcja Strażnika Ognia. Jego obowiązkiem było dbanie, by nigdy nie zgasł. Wówczas jeszcze nie potrafiono samodzielnie krzesać iskier, więc czekano na ogień z nieba. Tak się w dziejach podziało, że rolę strażniczek przejęły kobiety, gdyż mężczyźni musieli polować.

Mijały wieki, ogień pilnowany przez kapłanki wciąż się palił. Potem ludzie nauczyli się już jak samodzielnie krzesać iskry, dbali też, by boski płomień nie gasł. Kobiety, pilnując ognia, przejęły wiele cech tego żywiołu.

A czas nieustannie przemijał, tak jak spalające się wrzucone w ogień drwa.

Nastała Noc Kupały, ta najkrótsza w roku. Gospodynie już wcześniej wygasiły płonące w domostwach ognie. Wszyscy mieszkańcy osady Strzelce przybyli nad Jezioro Górne, by uroczyście świętować. Kapłan dał znak, by w rogi zadęto. Dudniący dźwięk powielany przez echo, rozszedł się po okolicy. Nim rogi przebrzmiały nowy ogień skrzesano, rozpalając wielkie ognisko.

- Witaj nam gościu, w czerwonym płaszczu! - zakrzyknęli zgromadzeni, radując się pierwszymi płomieniami nowego ognia, który szybko nabierał sił, strzelając w niebo iskrami.

Dym niósł zapach bylicy i innych ziół, które wrzucano w płomienie, by wszelkie złe siły nie miały przystępu do ludzi. Rozpoczęto skoki przez ogień, bo chciano się oczyścić i dowieść swej odwagi. Wkrótce panny wianki na wodę puściły. Zabawy i pląsy trwały do białego rana. Wielu młodych udało się w bory, by odszukać płomienisty kwiat paproci, który zwano kwiatem perunowym na cześć słowiańskiego boga ognia – Peruna.

Gdy nad ranem wszyscy się rozchodzili do domostw, gospodynie, w specjalnie zabrane na taką okazję gliniane garnuszki, nabrały żaru z kupalnego ogniska. Z żarzących się węgli, przeniesiono go troskliwie do domu. Kobiety nowy ogień rozpalały, by płonął przez kolejny rok. Tak zawsze czyniono wśród Słowian, bowiem matki córkom tę wiedzę przekazywały i uczyły jak mają postępować, gdy pójdą w świat do nowego domu. Przez pokolenia trwała ta ogniowa sztafeta.

Czarownice, wiedźmy, gospodynie, które wciąż przy ogniu pracowały, gotując potrawy, napary i sporządzając różne leki, były jak ogień, blaskiem swym rodzinę oświetlający, grzejący w mroźne dni i gniewem swym spopielający wszystkich wrogów domowników, nad którymi strażniczka domowego ogniska pieczę sprawowała.

I znów mijały wieki, jak stosy płonące, które podsycały mroki ludzkiego strachu i zabobonu.

Nastał czas ponury, pełen bojaźni i trwogi, gdy bliźni na bliźniego, wilkiem patrzył. Starano się ze wszystkich sił, by ugasić wciąż płonący w ludziach pożyteczny ogień, rozpalając inny – niweczący wszystko. Wówczas to, wyłapywano wszystkie strażniczki, oskarżając o czary poddawano okrutnym torturom, by na koniec spalić je na stosie. Stośnice, odsądzone od czci i wiary, były posądzane o najgorsze plagi, jakie spadały na ludzi.

Strażniczki zdołały sprawić, że zapłonął też pożyteczny ogień w ludzkich sercach i osoby światłe stanowiące prawo, wydały zakaz polowań na czarownice. Wiele jednak drewna spłonęło, nim oświeceni ludzie tego procederu zaniechali.

Ogień nadal pilnowany przez strażniczki, płonął. Czasami się wymykał, obejmując cały świat wojenną pożogą. Tak to już jest z żywiołami, że dają zły, a odbierają dobry czas.

- Co ze strażniczkami się stało, gdzie one się podziały? Usłyszałem kiedyś pytanie młodzieńca. Odpowiedziałem od razu, bez zająknięcia:

- Spójrz w oczy kobiety, dziewczyny, (matki, babci, żony, narzeczonej…) a dojrzysz w nich iskrę, która do serca przeskoczy i rozgrzeje je do czerwoności. Uważaj jednak, bo czasami ta sama iskra, w porywczym gniewie, może cię spalić i zniszczyć. Taki ogień możesz wówczas jedynie miłością ugasić.

Na koniec jedną przestrogę dam, wszelkim amantom: Uważajcie na żywioł ognia miłości, byście się nie sparzyli.

Jak wieść okoliczna niesie, czarownica stojąca przed siedzibą firmy Spartherm – producenta kominków, w nocy schodzi z kominka i lata na swej miotle nad Strzelcami. Troszcząc się o dzieci czy mają ciepło, otula je kołderką. Sprawia, że uczucia, które dawno już wygasły, rozpalają się na nowo, dając ludziom szczęście. Nim kury zapieją ta Strażniczka – Czarownica, wraca na swoje miejsce. Ona czuwa, by ogień w naszych sercach wciąż płonął…

Miecz, który pokonał śmierć

Działo się to bardzo dawno temu. W czasach, gdy władali despoci. Wówczas jeden z nich zapragnął stać się nieśmiertelny.

Żył na ziemi człowiek, który miał wszystko. A to, czego nie miał, kupował. Swoje złoto bezpiecznie chował w przepastnych lochach, strzeżonych lepiej niż w banku. Żył w dostatku i splendorze. Jednak czas dla niego płynął nieubłaganie. Tego jednego towaru nie mógł kupić.

Nabył więc kuźnię. Specjalnie wynajął kowala i dał mu niezwykłe zlecenie, by przedziwny miecz wykuł. Taki wszechwładny, który sprosta ostrzu śmierci. Mistrz przyjął zlecenie, lecz postawił warunek, że nim dzieło ukończy, nikt mu przeszkadzać nie będzie, a każde jego żądanie zostanie szybko spełnione. Władca zgodził się na wszystko i na zakup materiałów dał hojny zadatek.

Kowal zaczął szukać metalu zrodzonego w niebie. Jeździł wszędzie, oglądał różne skały. Wszystko na próżno, bo nie mógł nigdzie znaleźć tego, czego poszukiwał. Lecz w końcu, po wielu miesiącach i długich podróżach, dowiedział się, goszcząc u cystersów w Kołbaczu, że w pobliżu Strzelec Krajeńskich: *spadł deszcz ognistych kamieni*. Zgodnie ze wskazówkami, jakie otrzymał od mnichów, udał się we wskazane miejsce. I stało się. Znalazł wiele odłamków meteorytów.

Pracował w kuźni nocami. Ludzie widzieli tylko wielką łunę nad budynkiem i słyszeli stukot młota. O świcie wszystko cichło. Strach zapanował w osadzie, bo nikt nie wiedział, co kowal wykuwa. Szeptano coś o magii i dziwnych rytuałach, jakie tam odprawiano. Nikt jednak głośno nie mówił o swych podejrzeniach, bojąc się możnowładcy.

Trwało to miesiąc. Którejś nocy, poddani nie usłyszeli dobywającego się z wnętrza hałasu, do którego zdążyli przywyknąć. Ale od tej pory zaczęli ginąć ludzie. Wpierw panny nadzwyczaj piękne i dobrego serca. Później kawalerowie mocni i młodzi. Następnie dzieci i starcy. Zawsze po siedem osób. Zapanowała w okolicznych osadach ogromna trwoga. Wszędzie słychać było płacz rodzin, którym uprowadzono bliskich. Mimo usilnych poszukiwań, nigdy nie znaleziono śladu zaginionych ciał. Nad kuźnią snuł się wciąż czarny dym.

Kowal nadal pracował nad ostrzem. Specjalnie przydzieleni słudzy dostarczali mu wszelkich składników, o które poprosił, a było ich wiele: krew dziewic, kawalerów, dzieci i starców.

Ciała spalano w piecu na popiół. Mistrz zanurzał w tym miecz, by dusze ofiar weszły w ostrze. Krwią hartował metal. Wciąż wymawiał tajemne formuły i zaklęcia, kreśląc zawiłe symbole. I tak, gdy ostatni człowiek oddał swe życie, miecz był ukończony. Był już ku temu najwyższy czas. Nagle pan i władca zaniemógł i nawet najlepsi sprowadzeni medycy nie mogli temu zaradzić.

Nocą, gdy wszyscy ułożyli się do snu, dziedzic oddał ostatnie tchnienie. Ale nim to się stało, weszła do niego koścista postać z kosą w ręku. Zamachnęła się mocno, by przeciąć nić żywota. Lecz zanim kosa ścięła życie, jak plon dojrzały, człowiek, leżący na łożu boleści, wyjął ukryty miecz i wprawnie się nim zastawił. Dwa ostrza zderzyły się ze sobą, aż iskry sypnęły. Czas stanął w miejscu, albowiem cząsteczki światła zostały przecięte. Kosa została złamana i w pył się rozsypała.

Śmierć nie wyraża na twarzy emocji, lecz uważny obserwator mógłby na jej kościstym obliczu dostrzec malujące się zdziwienie. Ostrze, które było wieczne, zostało zniszczone, a kostucha pokonana… Despota triumfował.

I wówczas czas przyspieszył. Miecz, którym zasłonił się śmiertelnik, ugodził go samego, albowiem siła, która powstała po zderzeniu dwóch ostrzy, była tak wielka, że człowiek nie potrafił jej sprostać…

Tak dopełniło się przeznaczanie. Albowiem nikt nie ujdzie śmierci.

Zakapturzona Śmierciucha odrzuciła zniszczoną kosę i w swe kościste dłonie ujęła miecz. Pogładziła ostrze, ścierając z niego złe znaki. Uspokoiła zamknięte w nim dusze i zabrała ze sobą. Ze zdobytego oręża wykuła nową kosę, albowiem była zwolenniczką tradycji.

Dęby z Dankowa

Krótkie opowieści, choć drzewa wiekowe, mogłyby przekazać wiele historii. Będąc w Dankowie, postarajcie się odnaleźć te drzewa, o których piszę. W ich cieniu sami możecie usłyszeć niedopowiedziane legendy…

Na początku nie było nic, prócz wielkiej wody praoceanu. Z głębin wynurzył się dąb, rosnąc wciąż wysoko. Jego konary podpierały nieboskłon – siedzibę bogów. Korzenie głęboko były osadzone w ziemi tam, gdzie się mieściła kraina zmarłych. Z żołędzi tego dębu, który stanowił oś świata, wyrosły kolejne drzewa.

Dąb jest największym, najpotężniejszym i najbardziej użytecznym z naszych drzew. Prastary, niemal wieczny i ogromny – jest ich ojcem i królem. Jako święte drzewo burzy i grzmotu, siły, długowieczności i nieśmiertelności był ulubieńcem: Zeusa, Jowisza, Dagdy, Donara – Thora i wszystkich innych bóstw gromowładnych, w tym również Jahwe. Na obszarze słowiańskim i wśród ludów bałtyjskich związany był z bogiem piorunów Perunem, Perkunasem.

Święte dąbrowy porastały całą zajmowaną przez Słowian ziemię. Szczególnym kultem obdarzone były te najpotężniejsze, wiekowe, górujące nad wszystkimi niczym szacowni patriarchowie.

Dęby te padły pod siekierami, gdy nowa wiara nastała. Pamięć o nich przetrwała w przekazywanych przez pokolenia legendach i opowieściach.

Szacunek dla tych wspaniałych drzew pozostał wśród ludzi na zawsze. Podziwiamy je, oplatamy rękoma, tuląc się do spękanej kory, by czerpać siłę. Pamiętajmy, by ochraniać wszystkie dęby, które dożyły starości, nie tylko te mające tabliczkę „Pomnik przyrody”.

Potopłenyk

W pobliżu wioski o pięknej nazwie – Brzoza, leżącej w gminie Strzelce Krajeńskie, znajduje się malownicze jeziorko Stawin. Wokół niego rośnie wiele wiekowych drzew. Stanowią one pozostałość parku dworskiego, który właśnie tutaj się mieścił. Wspaniały pałac z charakterystyczną wieżą z latarnią, niestety nie dotrwał do naszych czasów. Jedynie wytrawny poszukiwacz, który wie, gdzie się znajdował, może odszuka w porastającej gęsto roślinności smętne resztki po tej okazałej budowli.

Również mało kto wie, że jezioro Stawin skrywa w swej toni tajemniczego mieszkańca. Nie jest to wodnik, utopiec lub wodnica, choć te istoty od wieków zasiedlają wszelkie akweny tej krainy. Protopłenyk, bo o nim właśnie mowa, wprowadził się do tego jeziora dopiero po wojnie. Przybył na te ziemie wraz z ludźmi, którzy zostali tu przesiedleni w wyniku „Akcji Wisła".

Protopłenyk, jest elegantem wśród wodnych demonów. Wywodzi się z dawnych kresów Rzeczypospolitej. Jak to się stało, że dostał się na „Ziemie Odzyskane", trudno wyrokować. Może zaplątał się z inwentarzem lub nie chciał zostawać samotnie w opuszczonej przez ludzi okolicy. Faktem jest, że nowe tereny przypadły mu do gustu i tu postanowił osiąść. Zgodnie ze swym zwyczajem wybudował piękny podwodny pałac, w którym zamieszkał. Jest to demon wytworny, otaczający się luksusem i bogactwem. Zawsze ubiera się we wspaniałe szaty, tkane z najlepszych materiałów. Całe to bogactwo jest niczym wobec jego największego zmartwienia, które powoduje, że często nocną porą wychodzi z wody i krzyczy bezsilnie w stronę księżyca. Protopłenyk nie może mieć własnego potomstwa i rodziny. To zmartwienie spędza mu sen z powiek. Właśnie dlatego często podchodzi pod ludzkie domostwa i wywołuje po imieniu dzieci. Wabi je słodyczami, na które one zawsze są łase. Uprowadzone szkraby, za pomocą czarów zamieniał w wodne duchy, które od tej pory zamieszkiwały podwodny pałac, stając się jego rodziną. Nigdy już nie wypływały na powierzchnię wody.

Czy jeszcze mieszka w jeziorze ten wodny elegant? Tego nie wiem. Jednakże pamiętać należy, że trzeba pilnować dzieci przed różnymi niebezpieczeństwami, które im zagrażają.

Kowal i jego psotni pomocnicy

Dawno temu, w mieście Strzelce, żył pewien kowal. Był mistrzem w swoim fachu. Z metalu potrafił tworzyć różne cudeńka. Znany był nie tylko w okolicach strzeleckich, ale i hen daleko, daleko poza granicami. Nie narzekał na brak zajęcia, a wręcz przeciwnie. Ludzie przybywali z różnych stron, by złożyć u niego zamówienie.

Kowal pracował sam, i nigdy się nie spóźniał z wykonaniem pracy. Właśnie dlatego burmistrz Strzelec wraz z radą powierzyli mu zadanie, wykonania kosza flagowego, który będzie ozdobą urzędu i stanie się symbolem miasta. Szacowni rajcy nie rzekli mistrzowi, jak ma wyglądać ów kosz, zdając się na jego umiejętności. Wyznaczono tylko krótki termin realizacji dzieła, bowiem chciano tym masztem uczcić setną rocznicę przyjęcia statutów miejskich.

Kowal chwilę podumał nad zleceniem. Wyjął miecz, który wykuł dla siebie przed kilku laty i w skupieniu rozpoczął fechtunek. Zawsze tak czynił, gdy musiał zebrać myśli nim zabierze się do pracy. Wyobrażał siebie jako rycerza, który wszystkich zdoła pokonać. Zadawał sztychy, parował ciosy różnych wyimaginowanych wrogów. Toczył boje śmiertelne ze smokami i innymi potworami w obronie pięknych księżniczek. Po skończonej walce wiedział już, co będzie wykuwał. Nim udał się na spoczynek, dojrzał kątem oka pewien ruch. To maleńka postać przebiegła szybko, kryjąc się w cieniu. Wiedział, że cały czas obserwują go bystre oczka. Nim się położył spać w pobliżu paleniska postawił miskę, w którą nalał świeże mleko oraz talerz z wielkimi kawałkami pachnącego drożdżowego placka. Czynił tak zawsze wieczorem, uśmiechając się przy tym życzliwie i tajemniczo.

Nim świt nastał, kowal już rozpalił palenisko. Miechami rozniecił płomień, w który wsadził sztaby metalu, by się rozgrzały. Zerknął na pozostawione wieczorem miseczki i uśmiechnął się pogodnie, widząc okruszki i małe kropelki pozostałe z tego, co zostawił. Następnie zabrał się raźno do pracy.

- Stuk, puk, stuk, puk… - ciężkie uderzenia spadały na kowadło.

Kowal wprawnie wykuwał swoje dzieło, operując młotem i ogniem. Formował metal wedle swojej woli. Z bezkształtnej bryły zaczęły wyłaniać się różne kształty. Wieczorem, zmęczony udał się na spoczynek. Był szczęśliwy, rozpierała go duma, gdy spoglądał na pracę, którą wykonał.

- Jutro jeszcze wszystko dopracuję i dopieszczę, by zleceniu burmistrza nadać odpowiednią formę.

Zgodnie ze swym zwyczajem, nim opuścił kuźnię, nalał w miseczkę mleko i na talerzyku, położył wielki kawał drożdżowego placka. Westchnął lekko, nim zamknął drzwi pracowni.

Zanim przebrzmiały jego kroki, zrobił się ruch za paleniskiem. Wpierw nieśmiało, rozglądając się po całej izbie, na podłogę zeskoczył maleńki człowieczek. Gdy upewnił się, że nie ma żadnego zagrożenia, dał znak pozostałym, by wyszli z ukrycia. Bardzo szybko ludziki spałaszowały ciasto i wypiły pozostawione mleko. Poklepały się z ukontentowaniem po brzuszkach i zaczęły się rozglądać po kuźni. Szybko dojrzały nowe dzieło kowala. Gnomy, bo one to były, krytycznie przyjrzały się temu, co kowal wykuwał i już po chwili same zabrały się do pracy, poprawiając różne detale.

Rodzina gnomów już od bardzo dawna mieszkała w starej kuźni. Było im tam ciepło i sucho. Kowale, którzy użytkowali pracownię, zawsze o nie dbali, dzieląc się jedzeniem. Gnomy nie były wybredne i ze smakiem zjadały wszystko. Najbardziej jednak lubiły mleko i drożdżowca. Był tylko jeden warunek, który w rodzie kowala powtarzano zawsze w tajemnicy. Potrawy podawane tym ludzikom nie mogą zawierać soli, gdyż ten minerał jest dla nich trujący. Gnomy, pracowite z natury, były znawcami metali i mistrzowsko potrafiły obrabiać żelazo.

- Stuk, puk, stuk, puk... - dźwięczały pracowicie malutkie młoteczki.

Spod ich pracowitych paluszków wychodziły piękne pióra, łuski i różne drobne elementy, które uzupełniały dzieło człowieka. Nie byłyby też sobą, gdyby czegoś od siebie do wspólnego dzieła nie dodały. Były psotne z natury i zawsze musiały zrobić człowiekowi jakiś figiel. Ojciec rodziny, spojrzał na swą żonę, uśmiechając się czule i już po chwili wiedział, co jeszcze doda od siebie. Małym młoteczkiem wyklepywać zaczął blaszkę, aż uzyskał piękną krągłość. Magicznym sposobem scalił to z całym dziełem, przytwierdzając do korpusu. Był już czas najwyższy, bowiem kury w osadzie piać zaczęły, zapowiadając nowy dzień.

Nastał piękny poranek. Kowal - jak zwykle - zakrzątnął się wokół paleniska. Swym zwyczajem zerknął na łakocie zostawione wieczorem. Radował się, że wszystko znikło. Przygotowawszy wszystko jak należy, zabrał się do pracy. Obejrzał swe wczorajsze dzieło, odnajdując drobne elementy, które w nocy gnomy dodały. Cały czas jednak nie mógł się skupić, coś go rozpraszało. Krągłość pewna wzrok jego przyciągała jak magnes, budząc miłe wspomnienia.

- Ach, Kachna, - wyrwało się młodemu człowiekowi na wspomnienie niedawno poślubionej żony.

Uśmiechnął się promiennie, rozpoznając figiel uczyniony przez nocnych pomocników. Gnomy do stwora, który kowal tworzył, dodały piękną pierś kobiecą.

Mistrz wygładził dzieło, by dobrze się prezentowało. Gdy ukończył pracę, udał się do burmistrza, by pokazać mu stwora zrodzonego z marzeń i z obnażoną piękną piersią. Włodarz długo i krytycznie oglądał smoczycę. Gdy ujrzał jej krągłość, błogi uśmiech wykwitł mu na ustach. Poklepał kowala po plecach, pochwalił za dzieło i wypłacił ustaloną kwotę.

19 listopada 1908 roku, kosz flagowy umieszczony został pośrodku fasady ratusza miejskiego. Od tamtej pory różne flagi i symbole w nim umieszczano. Zawsze jednak stanowił dumę mieszkańców Strzelec.

Po wojnie los jego układał się różnie, bowiem takie były czasy. Po wielu przejściach, o których tu nie będę pisał, stało się w 2008 roku, że maszt flagowy po rekonstrukcji powrócił na swoje pierwotne miejsce.

Stojąc na rynku w Strzelcach Krajeńskich, nie sposób nie zauważyć tego zabytku albowiem przyciąga wzrok. Podejdźcie bliżej i przyjrzyjcie się detalom, by odszukać drobne elementy wykute małymi dłońmi gnomów. Rozpoznajcie stwory zrodzone z wyobraźni kowala, z którymi walczył, nim rozpoczął pracę. Wprawny obserwator wypatrzy krągłą pierś kobiecą, która jest symbolem macierzyństwa i zawsze niesie ze sobą miłe wspomnienia.

Jak głosi wieść gminna, smoczyca z góry obserwuje gród niczym swoje gniazdo. Chroni mieszkańców i strzeże od wszelkich kłopotów, szczęście przynosząc. Każdego prawego człowieka, życzliwego miastu i jego mieszkańcom, przytuli do piersi i doda otuchy. Na złoczyńców i wrogów ma dziób potężny i ogon mocny, którym bronić będzie miasta. Skrzydła sprawiają, że czasami w magicznej godzinie wzbija się do lotu i bystrym wzrokiem czuwa nad spokojem ludzi.

Pokuta twórcy machin oblężniczych

Od zarania dziejów tak się zdarza, że ludzie wojny między sobą prowadzą. Za wojnami, co by nie mówić i jakie hasła na sztandarach wypisywać, zawsze stała chęć zysku. Łupić, palić, zdobywać, niszczyć – tym wojna się żywi, cała ideologia to tylko czcze wymówki. Wszystko to wymusiło rozwój architektury. Miasta, osady otaczano murami, by zabezpieczyć mieszkańców. Budowano forty, stawiano twierdze, bunkry. Z drugiej strony zaś, zdobywcy wciąż nowe bronie wymyślali, by sforsować obronę.

Dawno temu, żył pewien genialny człowiek, który dziś może zrobiłby karierę jako wybitny inżynier, twórca wielu wynalazków. Działał jednak w wiekach średnich, i czasy pozbawiły go splendoru. Władcy chętnie go zatrudniali i utrzymywali na dworze, zapewniając mu wszelkie dostatki i przywileje. O jego dziełach zaś, krążyły legendy i każdy starał się zdobyć plany, które szkicował. Geniusz ten specjalizował się w konstruowaniu machin oblężniczych. Wojen wówczas wiele prowadzono, więc nigdy nie narzekał na brak zajęcia. Jego balisty, katapulty, trebusze, tarany i inne wymysły wojenne, doprowadziły do upadku wiele miast i osad. Nikt nie był zdolny się obronić, gdyż zawsze coś doskonalszego wymyślał, by skruszyć bramy, obalić mury i siać zniszczenie. Tak bardzo rozmiłował się w swej pracy, że nie słyszał płaczu mordowanych kobiet, dzieci.

Zdarzyło się, pewnego razu, że wróg okrutny wtargnął w granicę Nowej Marchii, paląc i niszcząc wszystko na swej drodze. Oblegano wówczas miasto Friedeberg, które dziś znamy jako Strzelce Krajeńskie. Tego grodu broniły potężne, kamienne mury. Obrońcy dzielnie odpierali ataki, licząc na odsiecz.

Wszystko wskazywało na to, że miasto wytrwa niepokonane. Przybył jednak na pole bitwy ów człowiek, który obejrzał machiny oblężnicze. Pomierzył wszystko i porobił obliczenia. Wyrysował plany, wedle których skonstruowano potężne katapulty. Nowy taran także wkrótce był gotowy do rozbicia miejskiej bramy. Ze świstem leciały wielkie głazy na obrońców. Ogień z nieba spadał, wzniecając pożary.

- Bum, bum, bum... - taran uderzał w bramę, która wkrótce pękła pod wielkim naporem. Mury też zostały skruszone. Wróg ruszył do ostatecznego szturmu. Strzelce musiały skapitulować pod naporem siły.

Konstruktor wszystko bacznie obserwował. Nanosił poprawki, notował i przeliczał, szkicując wciąż coś nowego, doskonalszego. I zdarzyło się w takiej właśnie chwili, gdy rozmyślał o nowej broni, że zabłąkana strzała wystrzelona w powietrze przez ostatniego obrońcę przeszyła jego serce. Padł martwy, jego notatnik upuszczony z dłoni potoczył się po ziemi.

Pochowano go z honorami i żalem wielkim. Duch jego pozostał w miejscu, gdzie życie zakończył. Ma on w ramach pokuty odbudowywać to, co niszczył za życia. Gdy tego dokona, odkupi swoje winy.

Idąc w pobliżu byłej Bramy Gorzowskiej nocną porą, może czasami się zdarzyć, ze usłyszymy odgłosy pracy. Światło księżyca ukaże widmowy zarys odbudowywanych murów. Pierwszy promień wschodzącego słońca zawsze niweczy dzieło pokutnika, sprawiając, że kolejnej nocy musi wszystko na nowo rozpoczynać. Tak dziać się będzie do sądnego dnia.

Jego notatnika, mimo poszukiwań, nigdy nie odnaleziono. Pochłonęła go ziemia lub diabeł przykrył ogonem. Ponoć, po wielu latach, znalazł go pewien podróżnik, przemierzający te ziemie. Szybko się zorientował, jaki skarb wpadł mu w ręce. Uśmiechnął się do swych myśli i naszkicował wielką armatę... Zeszyt ten, jak wieść gminna głosi, pojawia się czasami wśród ludzi, którzy wciąż wymyślają nowe bronie prowadzące do zagłady.

Brzozy – zaklęte panny

Brzozy, białą korą strojne niczym panny nadobne, zdobią naszą ziemię. Leczą, żywią w czas głodu swym sokiem (oskoła) i na sabaty wiozą czarownice. Przytul się do wysmukłego pnia tego drzewa, odetchnij głęboko i posłuchaj opowieści.

Na przeciwnym brzegu Jeziora Górnego (Klasztornego), patrząc od strony miasta Strzelce, znajdziecie aleję brzóz. Piękne miejsce, zwłaszcza o poranku lub wieczorną porą, gdy słońce maluje cienie i światło na białej korze drzew.

Zdarzyło się bardzo dawno temu, że pewien diabeł, w pobliżu Strzelec po polach hulał. Miał wielki ambaras, bo dostał zlecenie na zwabienie samych dziewic.

Wiele trudu mu to zajęło, nim obmyślił pewien plan. Rozpoczął więc rychło swoje dzieło…

Rozsiał swoje feromony, które tak działają na kobiety jak płachta na byka. Amant, wykorzystywał na wszelkie dostępne media, o których dziś się nie dowiecie, nawet w internecie. A na rynku przekupki powtarzały niebywałe wieści. Plotki lotem błyskawicy obiegły całe miasto. Wszyscy wiedzieli, że zjawił się elegancki i bardzo majętny kawaler w poszukiwaniu żony. Kandydatka, jak wieść gminna głosiła, nie musi być majętna w posag. W wianie wystarczy, że wniesie swoje dziewictwo.

Już niebawem do karczmy, w której mieszkał, zaczęły przybywać piękne panny. Paskuda – Zalotnik, bo tak się zwał ów diabeł, spoglądał na wszystkie bacznie i już po chwili wiedział, które wianek swój straciły. Przed diabła okiem nic się nie ukryło. Uśmiechał się tylko zalotnie. Swym bystrym wzrokiem dojrzał jednak wśród tłumu dziewczyn, białogłowę czystą niczym lilia. Szybko więc w swej głowie ułożył plan.

Mamił i kusił, prawiąc komplementy. Każdą osobiście do drzwi odprowadzał, szepcząc czułe słówka i umawiając się na randkę. Dziewczyny, łase na pochlebstwa, wpadały w sidła diabła. Ale lilię, którą w tłumie wypatrzył, potraktował specjalnie.

Zalotnik wiedział, że sam nie podoła temu zadaniu, więc piekło poprosił o wsparcie. Niebawem zjawiły się diabły, jak malowane, by wykonać zadanie. Każdy z nich gładki w mowie i obejściu, niejednej pannie rad zawrócić w głowie. I zdarzyło się wówczas w Strzelcach, że wiele gorących romansów rozkwitło.

Piękna nastała wiosna owego roku oraz czas miłości, trelami ptaków obwieszczony i obleczony kobiercami kwiatów. Nie tylko młodzi chodzili uliczkami, trzymając się za ręce. Zakochani, często spacerowali przy brzegach jeziora.

Czarty, panny chcący zdeprawować, przystąpiły do dzieła.

Paskuda – Zalotnik miał zadanie trudniejsze. Na swój cel wybrał najcnotliwszą i wielce pobożną dziewczynę. Zachowywał się szarmancko, do rodziców panny na obiady chadzał i wszystkim prawił komplementy. Był grzeczny i ułożony wedle ówczesnej mody. Para młodych zakochała się w sobie bez pamięci. Zdarzyło się, że diabeł dla swej lubej progi kościoła przekroczył. Było mu duszno i ciężko, zdołał jednak wytrzymać. Zalotnik znał powiedzenie, że finał wieńczy dzieło.

(Diabeł, za Boga pozwoleństwem, w niektórych okolicznościach może przekroczyć poświęcone progi. Tak prawią starożytne księgi i legendy).

Oblubieńcy umówili się nad brzegiem jeziora, przy małym kamieniu, o którym oboje wiedzieli. Chcieli się spotkać sami, bez nikogo, by przysięgnąć sobie wieczną miłość. I tak się stało, bo diabły robiły swoje…

Panna niczym piękna lilia szła brzegiem jeziora. Księżyc oświetlał jej sylwetkę, dodając krasy. Była nieśmiała, lecz na randkę kroczyła ochoczo. Pierwszy raz wymknęła się rodzicom.

Kocham, kocham… westchnienia tęskne przez Strzelce się niosły.

Szedł ku niej diabeł, jako młodzieniec w pięknej krasie. Ona biegła szybko, by wpaść mu w ramiona…

Zdarzyło się wówczas wiele… Tak naprawdę, nie wiem od czego zacząć… Ona biegła ku niemu, on ku niej… A między nimi, czas się zatrzymał… Jak to bywa w tej krainie, wmieszała się w to wszystko Panna Wodna, która mieszka w jeziorze. Czar rzuciła i sprawiła, że dziewczyna w brzozę się przemieniła. Bo taki los jest lepszy niż piekielne męki. Ona była pierwsza, którą wodnica w drzewo zaczarowała. Za nią poszły inne, skuszone przez diabły. Panna Wodna czuwała, by żadna zakochana do piekła nie trafiła. Tak właśnie powstała nad brzegu jeziora aleja brzóz. Zawiedzione diabły musiały odejść z miasta.

Ponoć czasami pojawia się w Strzelcach Paskuda - Zalotnik, by uwodzić i mamić dziewczyny. Widywany był kiedyś na festynach, dyskotekach, balach i innych okazjach, gdzie zawsze szyk zadawał, budząc liczne niewieście westchnienia. Któż wie, może dziś sieci swe zastawia w internecie?

Idąc aleją brzóz nad brzegiem Jeziora Górnego, wsłuchaj się uważnie w szum wiatru zaplątanego w gałęzie. Jeśli szczęście ci dopisze, usłyszysz ciche westchnienia zaklętych panien. Będzie to dobra wróżba, bowiem ten kto to usłyszy, znajdzie prawdziwą miłość.

Ponoć, jak księgi wielce uczone prawią, gdy brzoza dożyje swych dni i powalona zostanie siłami natury, dusza zaklętej w niej panny uwolniona zostanie i żyć będzie wiecznie.

Pociąg na sabat

[1] Dziś koło Czarciego Głazu,
kiedy zgaśnie dzień,
biesy, czarownice będą zbierać się.
Strzygi i upiory wyjdą ze swych nor
patrzeć i posłuchać czarodziejskich strof…

Jest pewien kamień wielki w ziemi strzeleckiej, który nazwano: Czarci Głaz. Z jakiego powodu taka nazwa się wywodzi, o tym niżej opowiem.

Dawno, dawno temu, a może właśnie w tejże chwili, opowieść ta się dzieje…

Wiedźmy, czarownice i wszelkie duchy niespokojne w szczególne dni, które były tylko im znane, zbierały się w miejscach ustronnych, z dala od ludzi. Spotkania takie zwano sabatami. Sabaty odbywały się na wzgórzach, górach, które królowały nad okolicą. Zwano je różnie zależnie od regionu. W Polsce najczęściej spotykane były Łyse Góry, Łysice, Bielice. Gdy wzgórz brakowało w terenie, wówczas uroczyska były miejscem spotkań. Zdarzało się też, że wielkie głazy, kośćce ziemi, były świadkami sabatów. Takoż właśnie się działo w pobliżu Żabicka w gminie Strzelce Krajeńskie.

Kwiecień się chylił ku końcowi i maj już zaglądał zza między. Ostatnia noc nastała owego miesiąca, pełna czarów i magii. Wyruszyły w podróż czarownice w lotach podniebnych na różnym sprzęcie domowym. W modzie były wówczas miotły z witek brzozowych. Inne, niegoniące za nowinkami, wybrały tradycyjne sprzęty i tak niektóre wiedźmy leciały na ożogach, łopatach chlebnych oraz zwyczajne dosiadły miotły. Niektóre, wielce nobliwe, mężów swych jako wierzchowce kulbaczyły i smarując maścią tajemną, przez komin ulatywały. Nie będę tu wymieniał wszelkich sprzętów, które lotom służyły. Wiedzcie, że wiedźmy, posiadające wiedzę, znały się na nowinkach technicznych i korzystały też z żelaznej kolei. Rozwinąłem nieco wątek komunikacyjny, byście zrozumieli, iż nie był to przypadek, że w pobliżu Czarciego Głazu tory położyli.

Nastała Noc Walpurgii… Ludzie struchlali okiennice i drzwi pozamykali. Strwożeni wielce, w domach siedzieli, odmawiając modły. W powietrzu ruch panował, jak zawsze w taką noc. Przybywały czarownice na sabat. Wiatr zaplątany w gałęzie okolicznych potężnych drzew, szumiał melodię:

Dalej siostry wiedźmy, czarci zróbmy krąg.
Ogień niechaj płonie, dziś sabatu noc.
Klątwy i zaklęcia, te z prastarych ksiąg,
Czyńmy złe uroki, bo dziś czarów moc…

Czarownice lądowały wprawnie w wyznaczonym miejscu i odstawiwszy swe wehikuły, które do lotów służyły, czyniły swoją powinność. Każda znała swoje obowiązki, więc wszystko sprawnie przebiegało. Wkrótce wielki ogień magiczny zapłonął, w który różne ziele tajemne wrzucono. Wszystkie czekały w napięciu na przybycie czarnego pana.

Wpierw usłyszały z oddali dochodzące niesamowite dźwięki, które mogły wzbudzić grozę. Po dłuższej chwili ujrzały dziwny pojazd toczący się po szynach. Cały w parze i dymie spowity, sypiący iskrami. Dziwna łuna i blask bił od tej widmowej kolejki. Zgrzytając mocno i jęcząc, stanął ten pociąg - widmo. Wysiadali z niego pasażerowie ustawieni wedle hierarchii. Wpierw szatany i piekielna arystokracja. Po nich diabły różnej specjalności i statutu. Dalej diabliki młode i diabełki, które służbę czyniły u starszych. Na końcu z wyciem wyskoczyli różni potępieńcy. Upiory, strzygi, wampiry i duchy niespokojne, niegodne, by uczestniczyć w zgromadzeniu, zaległy w pobliskim wąwozie, jęcząc i zgrzytając zębami.

W pokłonach czarownice witały czarnego pana, który zasiadł na wielkim głazie niczym na tronie i z góry pozdrawiał wszystkich zgromadzonych. Oddając cześć czartowi, czarownice nuciły cicho:

Ognie w kręgu płoną,
gęsta wstaje mgła,
wicher dziko wyje.
Idzie czarny pan.

Rozpoczęto obrady i różne dyskusje. Plany na cały rok układano. Komu i gdzie mleko odebrać? Jakie klęski na ludzi i wszelką żywinę sprowadzić? Rozprawiano o plagach i wojnach, by ludzkość doświadczać i okrutnie gnębić. Czart nowe adeptki przyjmował, znakując swoim piętnem. Wielkie i mroczne zapadły tam decyzje, zgubę szykując okolicy. Magiczna mgła zasłoniła tajemne księgi i nic z niej przeczytać nie mogłem. Dokonawszy wszelkich formalności, do biesiady wszyscy zasiedli, by spożyć posiłek i się zabawić.

Diabliki służebne stoły i ławy wyczarowały, które natychmiast wszelkim jadłem i napitkami się nakryły. Wszyscy śpiewali pieśń, którą echo powtarzało i niosło hen daleko:

W ogień wrzuć czarziele - buchnie krwawy dym.
Dorzuć garść popiołu, włosy wrogów swych.
Jadła i napitku z trupiej czaszki weź.
Potem w dzikie harce ruszaj z biesem wnet.

Gdy wszyscy najedli się i napili do syta, do tańca ruszyli. Nastąpiła wielka konsternacja w chwili, gdy okazało się, że nie ma kto przygrywać, bo zabrakło muzykantów. Powszechnie wiadomo, że diabły strasznie fałszują i muzyki żadnej porządnie nie zagrają. Czarownice także nie rwały się do instrumentów. Z kłopotu wybawił ich człowiek, który wiedziony ciekawością mimo przestróg wielu, ukrył się w pobliżu, by wszystko podpatrywać. Biesy szybko go znalazły i porwawszy w wir, bardzo go skołowały. Śmiertelnie przerażony człowiek znalazł się pośrodku niezwykłego zgromadzenia. Nie pytano go o nic, tylko spoglądano groźnie. Usłyszał nakaz, by zagrał im do tańca i otrzymał niezwykły instrument. Były to dudy magiczne, które czarowne dźwięki wydają. Może ich używać tylko zwykły człowiek, innym bowiem zabrzmią jak kocia muzyka. I tak się stało, że podglądacz stał się muzykantem, mimo że grać nie potrafił. Dudy w jego dłoniach same wyczarowywały magiczne dźwięki. Wszyscy zgromadzeni ruszyli w tany. A chór potępionych schowany w jarze śpiewał pieśń:

Błyskawice i pioruny
walcie w dachy w takt wichury,
niech ludziska pomrą z trwogi.
Niech w posadach zadrży ziemia,
niech się światło w ciemność zmienia…
… Dzikie tańce, dzikie harce…

Oj działo się wówczas wiele przy Czarcim Głazie, że opisać wszystkiego nie sposób. Ludziska, zamieszkujący pobliskie osady, z trwogą wspominali takie noce, gdy czart na swym tronie zasiadał. Wszystko jednak kończyło się nim świt nastał. Zanim koguty w obejściach piać zaczęły, czarownice odlatywały. Piekielna maszyna sunęła po torach, sypiąc wszędzie iskrami. Nim pierwszy promień słońca dotknął owego głazu, magia pryskała. Człowiek, dzierżący dudy, zbudził się z magicznego letargu. Rozejrzawszy się dookoła, ujrzał zdeptaną i wypaloną ziemię. Wiele dziwnych śladów, które przypominały kopyta widział wszędzie. Przeraził się ogromnie ujrzawszy to, co ściskał w dłoniach. Dudy w świetle słońca zmieniły się w zdechłego kota. Szybko odrzucił truchło zwierzęcia i umknął, wszak strach dodaje skrzydeł. Od tej pory był zawsze milczący. Na pamiątkę owej nocy zostały mu białe włosy. Wszystko to co widział i przeżył, sprawiło, że osiwiał.

Dawno już nie ma torów, po których jeździła kolejka ze Strzelec do Lubiany. Czasami jednak w magiczne noce, na nasypie w pobliżu Czarciego Głazu można usłyszeć dziwne, a niesamowite odgłosy. Czarownice obecnie bardzo się unowocześniły i inne czary odprawiają, roztaczając magiczną sieć w internecie. Minął czas sabatów… Ale, czy na pewno?

Ponoć, jak wieść stugębna głosi, śmiałek, który w Noc Walpurgii przybędzie do Czarciego Głazu, może ujrzeć różne niezwykłości i zyskać moce tajemne. Musi palce włożyć w otwory znajdujące się w owym kamieniu i bez poruszenia wytrwać do rana. Nie może przy tym okazywać lęku, bez względu na to, co będzie się działo wokoło i co ujrzy lub usłyszy.

Przestrzega się wszystkich, którzy zechcą poddać się próbie, wpierw niech przyjrzą się głazowi. Może widok czerwieni połyskującej w świetle księżyca sprawi, że zaniechają tego i odejdą, zachowując życie. Gdy widok krwi poprzedników nikogo nie przerazi i bohater zostanie przez noc całą do świtu, wówczas pęknie magiczna zasłona i zobaczy tańczące czarownice. Nad ranem zaś usłyszeć może wyjący z oddali potępieńczy chór:

Dziś przy Czarcim Głazie,
zanim wstanie dzień,
biesy, czarownice znikną w sinej mgle.
Strzygi i upiory wrócą do swych nor,
by w kolejnym roku przybyć znów w tę noc.

[1] tekst: Adrianna Aminae Janusz; słowa utworu Sabat, pochodzą z albumu „Pradawna moc" zespołu Runika. Wielkie podziękowanie składam zespołowi Runika za pozwolenie korzystania z tekstu. Sława Wam…

Piwna opowieść

Dawno, dawno temu w odległej Mezopotamii, gdzie rodziła się kolejna cywilizacja, zaczęto uprawiać zboża. I zdarzyło się, że jedna z rzek, Eufrat lub Tygrys, wylała. Woda zalała wszystko, docierając do spichlerzy, w których przechowywano ziarna. Wówczas zapanował wśród ludzi wielki lament. Przepadły wszystkie plony, więc głód zaczął wszystkim doskwierać.

Zrozpaczeni ludzie nie wiedzieli, co czynić. Zanosili modły do bogów, by wspomogli ich w ten trudny czas. Natura robiła swoje. Wilgoć i temperatura sprawiły, że zboża zaczęły fermentować. Tak narodziło się piwo, pierwszy napój bogów.

Niewiele osób, które w dzisiejszych czasach otwierają puszkę lub butelkę piwa, by ugasić pragnienie w upalny dzień, zdaje sobie sprawę, że chmielny napój w historii ludzkości odegrał bardzo wielką rolę. W czasach, gdy picie wody mogło przynieść przykre konsekwencje, a nawet doprowadzić do śmierci, piwo było w powszechnym użyciu. Niewielka fermentacja alkoholowa sprawiała, że wszelkie bakterie ginęły i nie zagrażały zdrowiu. Nie dziwmy się więc, że napój ten był w powszechnym użyciu. Gotowano na piwie potrawy, stawiano na stół różne piwne polewki, a nawet dawano je dzieciom. Piwo wówczas, obok nabiału i chleba, należało do podstawowych produktów spożywczych. Proces jego fermentacji nie był skomplikowany. Bardzo często z powodu brudnych naczyń, złej wody czy z innych przyczyn, które dla ówczesnych ludzi nie były znane, kończył się niepowodzeniem. Choć więc słodownik przygotowywał piwo wedle receptury, zdarzało się, że ów tak bardzo pożądany produkt kwaśniał. Wszystko to tłumaczono sobie czarcimi sprawkami. Częstym zarzutem w procesach o czary, było posądzenie o psucie piwa. Z wyrobu tego napoju słynęły klasztory, miasta oraz karczmy. Konkurencja była wielka i czasem sięgano po magiczne sposoby, by zapewnić sobie dobrą sprzedaż.

Dawno, dawno temu, miasto Friedeberg, które dziś znamy jako Strzelce Krajeńskie, słynęło z wyrobu piwa. Przechodząc Aleją Piastów, ujrzymy dawny budynek browaru, który szczęśliwie dotrwał do naszych czasów. Po wojnie znajdowały się w tym miejscu różne sklepy i magazyny. Jedynie pasjonaci historii wiedzą, że w tym miejscu warzono zacne piwo. Pracował tam wyśmienity piwowar, który miał młodą żonę. Kobieta starała się wspomagać męża. Pilnowała produkcji i odpowiedniego doboru składników. Czasem dodawała do kadzi różne zioła, aby poprawić smak i sprawić, by produkt wszyscy chętnie kupowali. Bywało, że chwytała się magii i odprawiała różne czary, by ochronić podczas fermentacji piwo od kwaśnienia. Karczmę, w której piwo strzeleckie sprzedawano, skrapiała wywarem czynionym z mrówek, by klienci trzymali się szynku, jak one mrowiska i zawsze do niego wracali. Zdarzyło się, że skazańcowi prowadzonemu na szafot, który znajdował się na Górze Czarownic, podawała piwo. Szeptała przy tym po cichu, tajemne życzenie:

- Niechaj tak dużo gości przy tym piwie bywa, jak wielu gapiów za tym człowiekiem podąża, by jego śmierć zobaczyć.

Wszystkie zabiegi młodej czarodziejki sprawiły, że piwo wszędzie spożywano, wychwalając jego zalety. Nawet we wsi Różanki, było sprzedawane piwo ze Strzelec. Fakt ten spędzał sen z powiek szacownym kupcom i piwowarom z Gorzowa. Nikt bowiem nie chciał spożywać ich piwa, przedkładając strzelecki produkt.

W Gorzowie odbyto spotkanie, na którym radzono, jak pozbyć się konkurencji. Dyskutowano długo, spierano się i godzono. W końcu uradzono, że należy zatrudnić czarownicę biegłą w sztukach czarnoksięskich. I tak się stało…

Nim czarownica w drogę z Gorzowa ruszyła, nabrała w dzban wodę ze Studni Czarownic. Dotarłszy do Strzelec, stanęła przed Bramą Gorzowską i powoli wylewała wodę, wymawiając przy tym tajemne zaklęcia:

- Pędź, pędź wodo bystro, płyń niepowstrzymanie, do kadzi z piwem, niechaj tak się stanie. Woda wielką falą popłynęła po miejskim bruku ku browarowi.

Ferment powstrzymany, złe ziarno zasiane, niechaj się odwróci i skiśnie niechciane - złowieszcze słowa niósł wiatr.

Nagle młoda piwowarka poczuła podmuch obcej mocy. Z lękiem zbiegła do browaru i ujrzała rzeczy straszne, które sprawiły, że dech jej zaparło. Wszystkie kadzie kipiały i syczały. Zaczyn z nich się wylewał, wydzielając okrutny fetor. Kobieta szybko się ogarnęła i mimo wielkiego strachu podążyła za wrogą mocą, którą wyraźnie wyczuwała. I zdarzyło się wówczas w pobliżu Bramy Gorzowskiej, że starły się w walce dwie przeciwniczki. Miotały straszne zaklęcia, które sprawiły, że brama została uszkodzona. Po wielu latach niestety rozebrana. Czarodziejka nie dopuściła, by obca czarownica wkroczyła do miasta. Jednak była zbyt słaba, by zło uczynione odwrócić. Obie, wyczerpane walką, wróciły do swych domostw. W Strzelcach już nigdy od tamtej pory nie warzono piwa. Dlatego młoda czarodziejka straciła swe moce i nigdy więcej już nie czarowała. Stara czarownica także swe siły w tej utarczce nadwątliła. Gorzowscy piwowarzy i kupcy cieszyli się wielce, że pozbyli się konkurencji.

Dawniej bardzo dbano o jakość piwa. Każdy, kto chciał sprzedawać swój wyrób, musiał beczkę chmielnego napoju przynieść do ratusza. Burmistrz z radą miejską nim wydali werdykt, sami z ceremoniałem kosztowali piwo.

W czasie próbowania rajcowie ubierali skórzane portki. Ławę, na której zasiadali, wpierw polewano piwem. Dopiero, gdy to uczyniono, ojcowie miasta zasiadali do stołu. Przed każdym stał wypełniony po brzegi złotym napojem kufel. Wpierw napój dokładnie oglądano, oceniając jego barwę i pianę. Po tych czynnościach oceniano jego smak. Na sygnał, dany przez burmistrza, wszyscy jednocześnie wstawali z ławy. Gdy ława, przyklejona do ich spodni uniosła się wraz z nimi, piwo uznawano za dobre. Jeśli ów złocisty napój przeszedł wszystkie próby pomyślnie, wydawano pozytywną decyzję i pozwalano na sprzedaż.

Tułaczka

Trwała wojna i końca jej nie było widać, gdy w Teheranie spotkali się politycy, by podjąć ważne decyzje. Następnie w Jałcie tworzono już w powojennej Europie nowy ład. A w Poczdamie zapadła kurtyna dzieląc, wolą wielkich zwycięzców, stary kontynent. Ruszyły trybiki maszyny, która odmieniła rzeczywistość. Były to przesiedlenia, wywózki, zsyłki… Ruszyły wagony we wszystkie strony, uwożąc ludzkie troski, smutki i ból rozstania.

Powojenne drogi były zapełnione ludźmi podążającymi w nieznaną dal. Wielu wracało do swych domów z niewoli. Inni szukali schronienia przed prześladowaniami. Plotły się ludzkie losy, pokryte kurzem i zmoczone deszczem wylanych łez. Opuszczano ojcowiznę, udając się w nieznane…

Friedeberg, jak inne miasta, miasteczka, wsie i osady, które włączone zostały do Polski, opuszczali dawni mieszkańcy, udawali się na Zachód. Do Strzelec natomiast, jak i innych miejscowości „ziem odzyskanych", przybywali z różnych terenów dawnej Rzeczypospolitej nowi mieszkańcy.

Wtedy zdarzyło się, że swą chatkę opuściła także pewna czarownica. Na wózek spakowała miotłę z brzozowych witek, naręcza różnych ziół i wszelkie mikstury. Tak wyszykowana ruszyła w drogę.

Jak wspominali po latach świadkowie tamtych dni, pojawiała się wszędzie tam, gdzie rodziły się tragedie. Nie patrzyła na narodowość, wszystkim niosła pomoc i pociechę. Magiczną miotłą smutki i troski wymiatała, sprawiając, że uśmiech znów witał na stroskanych twarzach. Ziołami leczyła wszelkie bolączki. Wszystkim nieśmiałym naparzała lubczyk, by pomóc im w miłości. Ponoć, jak wieść stugębna głosi, małżeństwa przez nią skojarzone przetrwały w szczęściu długie lata. A ich dzieci, wnuki, prawnuki stały się mieszkańcami miejsc, do których los rzucił ich rodziców.

Czarownica nie próżnowała, pocieszała zagubione w tłoku i pośpiechu dzieci. Zawsze sprawiała w sposób magiczny, że rodziny się odnajdywały. Była promykiem nadziei na odmianę losu, gdy czasy były niepewne. Czarowała uśmiechem, zarażając miłością. Pod jej wpływem nawet skrupulatni urzędnicy, przymykali oko, by pomagać przesiedlanym.

Repatrianci i pionierzy z wózkami, na które dobytek swój załadowali, opuszczali dawne zasiedlone od pokoleń domostwa. Los rozrzucił ich po świecie. Wszędzie tam, gdzie się znaleźli, układali na nowo życie. Żenili się, podejmowali pracę i zwyczajnie żyli, choć pamięć o minionych czasach sprawiała, że łzę rzewną wylewali. Tułacze, najlepiej wiedzą, że dom to nie są cztery ściany, lecz wszystkie historie, przeżycia i uczucia, które człowiek w sobie nosi.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp… po drodze niosło się skrzypienie wózka, który ciągnęła młoda kobieta. Już z daleka można było dojrzeć uśmiech na jej twarzy, który był jak promień słońca w pochmurne dni.

- Dzień dobry, Guten Morgen, Доброго ранку – czarownica witała spotkanych tułaczy.

- W czym mogę pomóc?…

Ponoć, zdarza się w obecnych czasach, że spotykają ją niektórzy wyruszający na emigrację podróżni.

Bal u Królowej Puszczy Barlineckiej[1]

Działo się to w najkrótszą noc w roku. Czas, gdy wszelka moc się jednoczy. Dziewczęta szykowały wianki, by w stosownej chwili puścić je na wodę. Chłopcy też nie próżnowali, każdy ćwiczył kondycję, by przez ogień najwyżej ze wszystkich przeskoczyć. Młodzieńcy podpatrywali panny, gdy te wianki zaplatały, by zapamiętać, który wyłowić mają. Znaleźli się też odważni, którzy wyruszyli w puszczę, by odnaleźć magiczny kwiat paproci. Śmiałków tych już nigdy więcej nie widziano wśród ludzi.

Wielki ruch panował w przyrodzie tego czasu. Wszelkie znaki na niebie i ziemi zwiastowały, że niebawem wydarzy się coś niezwykłego. Tak też było, gdyż Królowa Puszczy Barlineckiej wielki bal wyprawiała.

Kruki, ptaki wieszcze, posłane zostały we wszystkie strony, aby powiadomić o nim magiczne istoty. Kilka ptaków przyleciało do Strzelec, by czarownice z tego miasta na bal zaprosić. Zebrały się wiedźmy na sabat i wspólnie radziły, jak mają wystąpić przed Królową. Wybrały też kilka czarownic, które na ten bal się udadzą, by całe zgromadzenie godnie reprezentować.

Szykowały się czarownice, stroje przymierzały różne i odpowiednie eliksiry warzyły. Gdy czas już był ku temu, ruszyły w drogę. Wzleciały przez komin wysoko na miotłach tak, by ludzie nie mogli ich dostrzec. Jedna z tego grona się tylko wyłamała i na bal pojechała na rowerze.

Wszystko zaczęło się w magicznym jarze, koło Barlinka, gdzie skałki z ziemi wystają. Tam, przy kazalnicy, czart powitalną wygłosił mowę. Później goście obmyli się wodą czerpaną ze źródeł Płoni. Woda ta szczególną moc posiada i pozwala szybko odzyskać siły po trudach podróży. Tak wyszykowani goście ruszyli barwnym korowodem, by pokłon złożyć Królowej zasiadającej na tronie. Skrzaty, będące paziami, w imieniu monarchini wszystkim przybyłym wręczyły upominki. Każda czarownica dostała prezent wedle swoich umiejętności.

Nauczycielka – księgę magiczną, w której pierwsza wiedźma, wiedzę swą zapisała. Wiolonczelistka – nuty, by mogła grać nowe utwory. Trucicielka – nowy kociołek, w którym będzie warzyć miłosne eliksiry. Wiele jeszcze można wyliczać tych wszelkich cudów.

Królowa powstała z tronu i klasnęła w dłonie, dając znak, że bal czas zacząć. Rusałki, boginki, elfy i krasnale razem w tany ruszyli. Z Jeziora Barlineckiego na dźwięki muzyki wyszedł smok o wielkim sercu i też zaczął podrygiwać do taktu. Guślarz z Mądrą Babą w pierwszej parze byli, choć już wiekowi, w tańcu nie próżnowali. Zielony Jan, jako trefniś zabawiał wszystkich. Oj działo się wiele, że spisać nie sposób. Cała puszczańska przyroda się bawiła w to radosne święto. Królowa uśmiechnięta ze wszystkimi w tan ruszyła.

I ja tam byłem, jagody zajadałem i miodem zapijałem. Wszystko, co widziałem, wam opowiedziałem.

[1] Pamięci Romany Kaszczyc opowieść tę poświęcam.

Okno umarłych

Podążając w Dankowie z kościoła w kierunku mauzoleum, idź spokojnie, bo po co się spieszyć. Podziwiaj przyrodę, wsłuchaj się w głosy ptaków, oddychaj głęboko i raduj się życiem, łapiąc każdą chwilę. Wiedzieć musisz, że ścieżką umarłych kroczysz.

Tędy kondukt żałobny zmierzał do mauzoleum, niosąc z kościoła zmarłego z rodu von Brand. Żałobnicy mijali rzekę Polkę, która niczym Styks mityczny, oddzielała świat żywych od zmarłych, a dusza nieboszczyka na trumnie siedziała. Kondukt podążał aleją drzew, wśród których rosły buki i dęby. To drzewa dobroczynne mające chronić wszystkich od złych mocy. Jeden z rosnących dębów ze swych zrośniętych gałęzi utworzył coś w rodzaju okna. Tutaj właśnie dusza wzlatywała i oknem tym uchodziła w niebiosa. Dąb chronił zmarłego przed zakusami sił piekielnych. Ci, którzy nieśli trumnę, wiedzieli, że od tego miejsca lżej im będzie nieść brzemię, bowiem wraz z uwolnioną duszą zmniejszał się jej ciężar.

Tylko uważni to spostrzegą. Ci, którzy podążają spokojnie w ciszy pogrążeni, oczy mający otwarte.

Gdy kroczyć będziecie tą ścieżką, rozglądajcie się, podziwiając wiekowe drzewa. Jeśli dopisze wam szczęście ujrzycie „okno umarłych". Podobno każdy, kto samodzielnie bez niczyjej pomocy je odnajdzie, wieść będzie długi żywot.

Krzywoprzysiężca

Jak łatwo nam przychodzi składać przysięgi, zaklinać się, dawać słowo. Nie zważamy często na konsekwencje naszych słów.

Danków jest obecnie wsią, która przed wieloma laty była często wymieniana na kartach historii. Patrząc na rozpadające się resztki dawnego folwarku, aż trudno uwierzyć, że przez wieki ta osada była miastem. Łatwo też odnajdziemy stary dąb, nad jeziorem rosnący, będący pomnikiem przyrody. Zaprowadzą nas do niego drogowskazy.

Usiądźcie w jego cieniu i posłuchajcie historii, którą opowiem...

Zdarzyło się pod koniec XIV wieku. Kilku ludzi wnosiło swoje roszczenia do Dankowa, przedstawiając odpowiednie dokumenty. Byli to: Wierzbięta ze Smogulca z rodu Grzymalitów oraz Otto von Kitlitz – możny pan łużycki. Dodam jeszcze, by zagmatwać sprawę, że Nową Marchię wraz z Dankowem zakupił Zakon Najświętszej Marii Panny, zwany Krzyżakami. Rozpoczęły się swary i procesy, bo każdy dowodził swych praw.

W takiej atmosferze doszło pewnego razu do spotkania potomka Ottona z rycerzem zakonnym. Młody szlachcic, pokazując dokumenty, krzyczał głośno, przedstawiając swoje racje. Krzyżak nawet nie zerknął na owe akta i rzucił je w błoto, śmiejąc się przy tym szyderczo. Krew zawrzała w młodzieńcu i za oręż chwyciwszy, natarł na rycerza. Błysnęły miecze, przeciwnicy starli się w pojedynku. Raz za razem padały ciosy, bowiem żaden z walczących nie folgował drugiemu. Odgłosy walki niósł wiatr.

Krzyżak coraz bardziej zyskiwał przewagę nad młodzikiem. Doświadczenie jakie nabył w wielu wojnach i kunszt rycerski sprawiały, że na nic się zdała siła jaką daje młodość. Rycerz zakonny wytrącił miecz przeciwnikowi z ręki, powalając go na ziemię. Wstrzymał swoje ostrze, którym już miał uśmiercić młodego człowieka. Stanął nad pokonanym rywalem i rzekł z szyderstwem w głosie:

- Zdałeś się na Boski Sąd, wyzywając mnie na pojedynek. Bóg więc osądził, kto jest prawy. Pozostawiam cię przy życiu, byś na zawsze zapamiętał moje słowa. Plunął na pokonanego przeciwnika, by okazać mu pogardę. Miecz uniósł, chwytając za ostrze tak, by jako krzyż służył.

- Klnę się na Mękę Pańską i Krzyż Jego, że ziemia, na której stoję po wiek wieków naszą będzie, albowiem Zakon tego co raz zdobędzie, nigdy już nie oddaje. - Znamienne słowa wiatr poniósł w dal, zganiając nad okolicę ciemne chmury.

- Przysięgam, że Danków jest mój i takim będzie, bowiem jestem rycerzem Najświętszej Marii Panny. Jeśli mówię nieprawdę, niech stanie na ubitej ziemi ten, kto kłam mi zada. Pokonany zostanie jak ten szlachcic, który haniebnie legł w błocie. - Krzyżak, pastwił się nad pokonanym, okazując mu wzgardę.

- Pierwej w ziemię wrosnę, nim ją oddam! - Krzyknął pełen triumfu Krzyżak.

Zahuczał grom na niebie, wicher wzmógł się gwałtowny, wzbijając kurz i pył. W złą godzinę wypowiedziane słowa padły na podatny grunt. Gdy wszystko ucichło, młody Kitlitz zobaczył drzewo rosnące w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał jego wróg. Z oddali tylko dosłyszał diabelski chichot.

Całemu zdarzeniu od początku przyglądał się czart, który zwie się Orkius (z języka greckiego, „przysięgacz"). On właśnie pilnuje ludzkich przysiąg. Szczególnie ma baczenia na te, które ziemi dotyczą. Każdy, kto przysięga na grunty, że są jego, jest krzywoprzysiężcą. Ziemia została stworzona dla wszystkich ludzi, jako wspólne dobro. Człowiek ma ją użyczoną na krótką chwilę. Na końcu żywota jedynie kawałek jej dostanie na grób, w którym spocznie. Wie o tym dobrze piekło i już wiele dusz na takie przysięgi złowiło.

Dąb rośnie do dziś, dając tym wydarzeniom świadectwo.

Ostatni obrońca

Kim są Boży bojownicy
i praw Jego,
wielu ścieżek od Boga pomocy
ufając Mu,
w końcu i zawsze z Nim zwyciężycie…

Pieśń niesiona z wiatrem, poprzedzała tabory, które podążały z południa. Drogę ich znaczyły łuny pożarów ciągnących się hen po horyzont. Nastał straszny rok 1433. Polska, tocząca wojnę z Zakonem Najświętszej Marii Panny, zawarła sojusz z czeskimi heretykami – husytami. Czesi w sile 7 tysięcy pod wodzą Jana Czapka wyprawili się wiosną tego roku przez Śląsk do Nowej Marchii. Dodam jeszcze, że wyprawę wsparli Wielkopolanie pod wodzą Sędziwoja z Ostroroga. Wieść o najeździe „sierotek" - najbardziej radykalnych wśród husytów - sprawiała, że nawet najmężniejszym rycerzom łydki drżały ze strachu. Zła sława, na którą w pełni zasłużyli swymi czynami, ich wyprzedzała.

- „Sierotki" idą, „sierotki" - powtarzano wieści z ust do ust…

Dalej, strzelcy, kopijnicy,
ducha szlachetnego
kosynierzy i cepnicy
ludu wzburzonego
pamiętajcie na szczodrość
Pana dla Was…

Słowa pieśni niósł wiatr. A widok srogich Czechów sprawił, że zadrżały serca wszystkich mieszkańców Nowej Marchii. Świadectwo tego daje sławny kronikarz Jan Długosz. Padło wówczas wiele obwarowanych miast i grodów. Strzelce spotkał okrutny los. Wymordowano prawie wszystkich mieszkańców miasta. Najeźdźcy niepowstrzymanie parli dalej.

Pewnego dnia w Dankowie usłyszano z oddali czeski hymn.

Nie bójcież się wrogów swoich
złota nie miłujcie
Boga w sercu poświęcajcie
z Nim, dla Niego walczcie
przeciwnikom swoim nie
ulegajcie!

Wszyscy wylegli na wały, które okalały osadę. Każdy, kto miał siły walczyć, za broń chwycił. Czesi liczyli, że łatwo zdobędą Danków i dalej pójdą po nowe zdobycze. Nie wiedzieli, że komendę nad obrońcami sprawuje rycerz, mocarny niczym dąb, który właśnie to drzewo miał w swym herbie.

Pamiętajcie te rozkazy,
które wam wydano,
naśladujcie swych hetmanów,
pomagajcie braciom,
dzielni bądźcie, a swój szyk
utrzymajcie!

Czesi, z pieśnią na ustach, ruszyli do szturmu. Jak wezbrana fala napierali ze wszystkich stron. Pewni byli szybkiego zwycięstwa. Wówczas stanął im na drodze rycerz jak dąb wielki, który swym mieczem kosił ich jak zboże. Taki widok dodał sił obrońcom i odparli atak. Wielokrotnie husyci szturmowali wały Dankowa. Z każdym atakiem zmniejszała się liczba obrońców, którzy polegli lub zostali poważnie ranni. Wielki był także stos poległych wrogów, których dzielny wódz powalił.

Nieprzyjaciół się nie lękajcie,
na ich mnóstwo nie zważajcie,
Pana swego w sercu miejcie,
dla niego wojujcie
i przed nieprzyjaciółmi nie uciekajcie.

Zagrzmiała pieśń „sierotek", nim do ostatecznego szturmu ruszyli. Wcześniej już bombardy, ciężkie kamienie miotały, przerzedzając szeregi obrońców. W miejsce, gdzie zawsze wódz obrońców czuwał, spadł deszcz strzał i bełtów wypuszczonych przez łuczników i kuszników. Mocarny obrońca rozglądał się bezsilnie. Widział, jak giną jego towarzysze, z którymi trwał w walce. Wiedział, że nic już więcej nie zdoła uczynić, by zapobiec klęsce. Krew uchodziła obficie z jego ran pozbawiając go sił. Nim skonał, wbił swój wielki miecz w ziemię i ukląkł w ostatniej modlitwie. Tak zakończył życie ostatni obrońca Dankowa. Czesi, sami będąc wojownikami, potrafili docenić bohatera. Oddano poległemu honory i pochowano w miejscu, w którym zginął. Miecz zamiast krzyża wbito w jego grób.

I niedługo zdarzyło się, że w miejscu, gdzie był wbity miecz wyrósł młody dąb. Drzewo rosło, nabierając sił. Liście jego zależnie od pór roku ocieniały, a potem nakrywały grób poległego obrońcy. Wieniec z liści tego drzewa zawisł nad grobem walecznego wodza - bohatera.

Dziś, nad brzegiem Jeziora Dankowskiego w pobliżu wałów osady, rośnie potężny dąb pamiętający odległe czasy. Chociaż nie jest to pomnik przyrody, szacunek mu okażmy. Ponoć, jak wieść niesie, gdy przytulimy się do jego pnia i ucho przyłożymy do spękanej kory, usłyszeć możemy zgiełk dawno przebrzmiałej bitwy i pieśń husytów, którzy przed wiekami najechali te ziemie.

I z tym wesoło krzyknijcie:
razić w nich!
broń się własnymi rękoma z Bogiem,
Bóg Pan nasz! Krzykniecie.

KIM SĄ BOŻY BOJOWNICY…

Historia jednego kościoła

W jednej z wiosek znajdujących się w gminie Strzelce Krajeńskie, znajduje się stary kościół. Budowniczowie, którzy wznosili z kamienia tę budowlę w XIII wieku, nigdy nie przypuszczali, jakie będą losy ich świątyni.

Chrześcijaństwo, z jednego pnia się wywodzące (z różnych przyczyn) rozpadło się dwa wieki wcześniej, nim wzniesiono ten kościół. Była to wielka schizma wschodnia. Od tej pory na wschodzie, panował grecki porządek, który zwiemy prawosławiem. Zachód zaś pozostał wierny Rzymowi, jako katolicy. I tak mieszkańcy Brzozy, bo o tej wiosce mowa, słuchali przez kilka wieków mszy głoszonej po łacinie.

Zmieniały się czasy, nowe prądy i zmiany następowały w Europie, a kościół wciąż stał. Wystąpienie Lutra znów rozłam spowodowało, tego co niepodzielne. Władcy Nowej Marchii przyjęli protestantyzm, a z nimi ich poddani. I tak w kościele zaczęto w mowie niemieckiej głosić Słowo Boże.

Druga wojna światowa przyniosła również wielkie zmiany. Odeszli dawni mieszkańcy, a w ich miejsce przybyli nowi, przywożąc swoją religię. I tak doszło do tego, że od 1953 roku kościół w Brzozie służy jako cerkiew prawosławna.

Jedna budowla, a ileż historii mieści się w jej murach. Wszyscy wierni do jednego Boga modły swe wznosili, każdy jednak na swój sposób.

Gdy zawitacie do tej wioski, obejdźcie cerkiew dookoła. Dotknijcie starych kamieni, z których została wzniesiona. Może, gdy szczęście wam dopisze, usłyszycie różne głosy dawnych mieszkańców. Modlitwy wiernych wsiąkają w mury ich świątyń.

Wehikuł Czasu

Współczesny człowiek wciąż goni, choć sam nie wie za czym. Ciągle zerka na zegarek, licząc minuty, godziny, dni. Pędzi przez życie, nie oglądając się wokół i często w tym pośpiechu nie dostrzega zwykłego piękna, które go otacza…

Ojciec Czas nie stoi w miejscu, choć zdarzyć się może, że czasami przystanie, wówczas powstają pewne zawirowania, które sprawiają, że ujrzymy to, co kiedyś się wydarzyło. Właśnie takie zdarzenie miało miejsce, jak głosi wieść gminna, w dniu odsłonięcia pewnego zegara w Strzelcach Krajeńskich.

Był 18 czerwca 2011roku. Miasto świętowało wspaniały jubileusz – 725 lecie nadania praw miejskich. Już od rana trwał ożywiony ruch w magistracie, ponieważ wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik.

Burmistrz, osobiście wszystkiego doglądał. Ludzie zebrani na rynku oczekiwali na niezwykłe wydarzenia.

Godzina trzynasta właśnie się zbliżała, gdy na niebie zebrały się chmury. Wszyscy z niepokojem obserwowali obłoki, bo słońce było ważne do uruchomienia tego zegara. Wszystko musiało się toczyć, jak zaplanowano. Właśnie wybiła trzynasta, gdy burmistrz Strzelec Krajeńskich, nie bacząc na pogodę, dokonał uroczystego odsłonięcia tego zegara. Stała się wówczas rzecz niezwykła. Zawiał wiatr historii, rozganiając chmury. Pierwszy promień słońca padł na gnomon, uruchamiając zegar słoneczny. W tej jednej chwili, możecie mi wierzyć, przybyli wszyscy mieszkańcy tego grodu, którzy od wieków tu żyli. Byli Augustianie w swych czarnych habitach zakryci kapturami. Przybyli wojowie i możni rycerze, którzy zawsze dzielnie bronili miasta. Różni rajcy i włodarze tutaj się stawili. Kupcy i przekupki też radzi przybyli. Możni, książęta i społeczeństwo bawiło się w najlepsze. Na górze w wielkim pędzie czarownice na miotłach lecąc, różne harce wyprawiały. Wiele by wyliczać gości sprzed wieków, którzy w ten czas się zjawili. Trwało to mgnienie oka, nim cień na zegarze się przesunął. Od tej chwili w mieście Strzelce Krajeńskie zegar słoneczny odmierza czas szczęśliwy.

Zegar słoneczny, stojący na rynku w Strzelcach Krajeńskich splata w sobie różne związane z tym miastem historie. Jego korpus, wykonany z piaskowca był kiedyś podstawą pomnika, na którym stał, dumnie się prężąc, cesarz Wilhelm I. Gnomon w kształcie strzały wykonano z elementu ogrodzenia z XIX wieku. Władcy przemijają, ludzie odchodzą, historia wciąż się toczy, bo miasto nie przemija.

Będąc w Strzelcach wędrowcze, daj się złapać w pętlę zarzuconą przez mury miejskie, które pierścieniem jak w wiekach średnich otaczają stare miasto. Poczuj magię płynącą od czarownic i daj się oczarować. Gdy dopisze ci szczęście, odnajdziesz dawne ukryte w różnych miejscach obrazy. Wieczorem usiądź przy zegarze w ostatnią godzinę dnia. W taki czas, gdy księżyc w pełni wzejdzie na niebo, a słońce ostatnim promieniem oświetli zegar, wyznaczając magiczną godzinę, może się zdarzyć, że ujrzysz staruszka z długą siwą brodą spokojnie przechadzającego się przez rynek. To Ojciec Czas, który lubi odwiedzać Strzelce Krajeńskie. Szczęśliwi będą wszyscy, którzy go ujrzą, bo wówczas odmieni się ich życie…

Miasto trwało, trwa i trwać będzie. Historia toczyć się będzie zapisywana pokoleniami mieszkańców… Lata, odmierzane przez zegar słoneczny, działają jak wehikuł czasu…

Strzelzi, Strzelecz, Strzelcze, Strzelce, Serzeletz, Strelza, Fredeberg, Vriedebrech,…, Friedberg, Friedeberg Nm., Strzelce Krajeńskie.

Gwiezdne ciasteczka

Dawno temu z nieba na Strzelce spadły gwiazdy. Wielu wieszczyło nadejście armagedonu, modląc się o zbawienie. Jednak miasto jak Feniks, podniosło się z popiołów. Ludzie wrócili, odbudowując zgliszcza i upiększając miejsce, w którym żyli. Z czasem zaczęli przybywać do Strzelec poszukiwacze meteorytów. Każdy marzył o niezwykłej broni, wykonanej z nieziemskiego metalu, by być niepokonanym.

Pewien marzyciel pragnął nieść ludziom szczęście. To mistrz nad mistrze w swym fachu, wyśmienity cukiernik, który wypiekał najwspanialsze słodycze. Pozbierał wiele gwiezdnych okruchów, ponieważ chciał z nich zrobić ciastka, by ludzie mogli skosztować nieba. Szczytna idea i pomysł zacny, lecz trud próżny i starania też. Z metalu bowiem nie urobi się ciasta. Załamywał ręce i łzę po cichu wycierał, widząc mizerny skutek swojej pracy. Tutaj mógłbym zakończyć opowiadanie, lecz poczekajcie chwileczkę. Zdradzę wam w sekrecie, że jeśli ktoś trwa przy swoich marzeniach, wytrwale je realizuje, wówczas zdarzyć się może, że wszystkie siły ziemi i kosmosu mu w tym pomogą. Tak się w przypadku tego cukiernika stało.

Już od pewnego czasu czarownice przyglądały się jego poczynaniom. Wiedziały, że chce dokonać niemożliwego, więc doceniły te starania. Zaprosiły go do siebie i wypytały o wszystko. Poznały, że ma intencje i serce czyste. Odbywszy burzliwą naradę, strzeleckie wiedźmy postanowiły mu pomóc.

Wszystkie czarownice się zebrały przy pełni księżyca w miejscu sobie znanym i odprawiły potężne czary. Przywołana została moc czterech żywiołów. Dlatego każda z adeptek magii, własny rzuciła czar.

- Czary, mary, hokus, pokus - płomień strzelał w górę. Piorun z nieba przyzwany, wszystko na nowo scalił. To sprawiło, że gwiezdne okruchy materię swą zmieniły i przemieniły się w masę ciasta.

Mistrz cukierniczy przejął ten półprodukt od czarownic. Pięknie podziękował i swoje czary kontynuował w piekarni. Wszystko ugniatał oraz wałkował. Ciasto robił starannie. Serce i uśmiech do dzieła dołożył, by pięknie wyrosło. Gdy nastał odpowiedni czas, wstawił foremki do pieca. Zapach, jaki wówczas dochodził z cukierni sprawił, że mieszkańcy gromadnie przybyli do niego zwabieni smakowitym aromatem. Przybył sam burmistrz wraz z rajcami. Ksiądz dobrodziej razem z ministrantami. Strażnicy miejscy, przekupki i dziad proszalny. Robiąc wiele hałasu, dzieci ze szkoły wypadły, a za nimi podążali nauczyciele. Wiele by wyliczać, kto wówczas zawitał. Możecie mi wierzyć, że każdy mógł wówczas spróbować niezwykłego wypieku. W tej magicznej chwili, wszyscy strzelczanie błogo się uśmiechali, zajadając pyszne łakocie. Cukiernik wyszedł na zewnątrz i cieszył się wielce, , że spełniając marzenie, dał ludziom szczęście. Sława gwiezdnych ciasteczek sięgała daleko, toteż ludzie przybywali do Strzelec, by je skosztować.

Wiele czasu minęło od tamtych wydarzeń, a magicznego ciasta nigdy nie ubywa. Jeśli kiedyś zawitasz do Strzelec Krajeńskich, odnajdź koniecznie magiczną cukiernię, aby skosztować gwiezdne ciasteczka.

Ta, która wiedzę posiadła

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, rzekami, dolinami…

Historia, którą opowiem, rzeczywiście wydarzyła się bardzo dawno temu. Jednak nie musicie szukać odległych stron, w których rozgrywa się akcja tej opowieści. Wyjdźcie na podwórko, rozglądnijcie się wokół siebie i wsłuchajcie w szum liści, wiatrem targanych, a może usłyszycie legendę, poniżej spisaną.

Działo się to w czasach, gdy stare bogi umierały. Piastowie, scalający swoje władztwo, też dali się ochrzcić i jako neofici dbali wielce o umacnianie chrześcijaństwa. Pod siekierami padały potężne dęby i święte gaje. W ich miejsce stawiano krzyże i kościoły. Dźwięk dzwonów zwołujących wiernych, słychać było wszędzie.

Wszyscy, którzy nie chcieli porzucić wiary ojców, uchodzili na północ, by służyć ludziom w zgodzie z naturą. Na Pomorzu królował jeszcze Trzygłów i Świętowit.

Zdarzyło się pewnego czasu, iż w pobliże osady, gdzie łucznicy sławni mieszkali, zawędrowała pewna kobieta. Wraz z nią przybyli młodzi ludzie, wspierający ją we wszystkim, wypełniający każde jej życzenie. Oni to wkrótce chatkę jej z bierwion postawili. Pomocnicy jeszcze przez pewien czas byli przy niej i pomagali jej w zagospodarowaniu. Gdy wszystko było gotowe, pożegnali się ze swoją panią i ruszyli w nieznane. Od tej chwili nigdy już ich w tej okolicy nie było.

Kapłanka zamieszkała sama nad brzegiem Jeziora Górnego. Jednak nie była samotna w swym domostwie, gdyż rychło rozeszła się wieść o wiedźmie znad jeziora. Ludzie przybywali do niej po różne porady i leki na swe bolączki. Zwierzęta także wiedziały, że u niej znajdą opiekę i ratunek. Nawet groźne wilki, tuliły się do jej stóp, jak pieski do swej pani. Jej gospodarstwo było przytuliskiem dla wszystkich i każdy mógł liczyć na życzliwość. Sława jej sięgała daleko za granicę Marchii i Pomorza. Zdarzało się, że nawet możni tego świata wstępowali w jej progi z prośbą o radę. Zbierała zioła by przyrządzić mikstury i wywary. Suszyły się w jej obejściu, rozsiewając piękne aromaty.

Zielarka często wędrowała, by dotrzeć do potrzebujących jej pomocy. Zakochanym przychylała nieba, przyjmowała porody, leczyła i uczyła miłości i zrozumienia ludzi oraz natury. Pod swój dach przygarniała wszystkie sieroty, które same z różnych przyczyn zostały na świecie. Każdemu dziecku starała się znaleźć odpowiednią rodzinę, która by pomogła mu w dalszym życiu. Ludzie wiedzieli, że sieroty, które od niej brali na wychowanie w przyszłości wyrosną na porządnych ludzi. Z czasem w Strzelcach, a także w innych stronach, zaczęto ją nazywać nie inaczej jak Mateczka.

Wiedźma, niektóre dziewczynki, u których wyczuła moc szczególną, zostawiała u siebie na naukę. Uczyła je wszystkiego, co sama potrafiła, dzieląc się ogromną wiedzą. Uczennice posyłała w świat, by niosły pociechę ludziom. Najzdolniejsza z nich została z Mateczką, by pomagać jej w codziennych zajęciach i z czasem przejąć domek i wszystkie obowiązki wiedźmy.

Zdarzyło się pewnego poranka, gdy słońce zorze zapalało i pierwsze ptaki trele swe rozpoczynały, że Mateczka nie powstała ze swego leża. Odeszła we śnie, cicho i spokojnie, tak jak żyła z uśmiechem na ustach, gdyż wiedziała, że wypełniła swoje dni służeniu ludziom.

Uszanowano jej wolę i pochowano zgodnie z dawnymi zwyczajami. Stos wielki uczyniono i na nim ją złożono przystrojoną pięknymi kwiatami i ziołami. Tak jak czynili to przodkowie, ciało spalono. Na pogrzeb przybyli nie tylko mieszkańcy Strzelec, ale też ludzie z najdalszych zakątków. Zwierzęta z lasu wyszły bez trwogi przed ludźmi. Ptaki wszystkie gałęzie obsiadały i pięknie śpiewały. Zapanowała jedność natury z człowiekiem. Prochy jej rozsypano w miejscach, które szczególnie za życia umiłowała. Od tamtych wydarzeń Mateczka dba o wszystkie istoty żyjące w mieście i okolicy. Nikt nigdy nie widział jej zjawy lub ducha. Ponoć objawia się zapachem ziół, a na ludzi spływa wielka dobroć i odchodzą wszelkie troski. Szczęśliwi są wszyscy, którzy doznali tego zjawiska.

Wieść gminna niesie, że całą swoją wiedzę, którą posiadała, spisała w wielkiej księdze, magicznym pismem, znanym tylko czarownicom.

Przez wiele stuleci księga była przechowywana przez kolejną czarownicę która zawsze coś w niej dopisywała. Księga zaginęła w okresie prześladowań. Przepowiednia głosi, że gdy czas odpowiedni nastanie, dziewczynka mocą wielką obdarzona ją odnajdzie. Wówczas nastanie szczęśliwy czas i wszyscy się zjednoczą z naturą…

BIBLIOGRAFIA

1. Baranowski B. Pożegnanie z diabłem i czarownicą. Wierzenia ludowe. Poznań 2020.
2. Baranowski B. W kręgu upiorów i wilkołaków. Demonologia ludowa. Poznań 2019.
3. Baranowski B. O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach. Szkice z obyczajów XVII i XVIII wieku. Poznań 2020.
4. Baranowski B. Procesy czarownic w Polsce w XVII i XVIII wieku. Poznań 2021.
5. Kaszczyc R. Baśń o królowej puszczy barlineckiej. Szczecin 2012.
6. Kaszczyc R. Kiedy kruk był biały. Wołczkowo 2002.
7. Müller P. Skarbnica legend z okolic Strzelec. Legendy i obyczaje. Red. Marek Bidol. Strzelce Krajeńskie 2013.
8. Samp J. Droga na sabat. Gdańsk 1981.
9. Na początku było drzewo. Pod red. Rodak – Śniecińska A. Warszawa 2011
10. Tuwim J. Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksięskie. Wyd. 2. Warszawa 1960.
11. Podgórska B. Podgórski A. Wielka księga demonów polskich. Leksykon i antologia demonologii ludowej. Katowice 2005.
12. Koprowska – Głowacka A. Magia ludowa z Pomorza i Kujaw. Gdynia 2016.
13. Koprowska – Głowacka A. Czarownice z Pomorza i Kujaw. Gdynia 2010.
14. Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu. Opracowała Kochan A. Wrocław 2015.
15. Pseudo Albert – Wielki. Księga sekretów o cnotach ziół, kamieni i zwierząt niektórych. Opracowali: Kroczak J., Sokolski J., Zagożdżon J. Wrocław 2014.
16. Adamiak A. Mosz S. Młot na czarownice. Najważniejsza, najmądrzejsza i najbardziej znacząca książka świata. Katowice 2007.
17. Rymar E. Strzelce (Krajeńskie) i okolice na przestrzeni wieków (do 1945 roku), Strzelce Krajeńskie 2011.
18. Rymar E. Danków na przestrzeni wieków, Strzelce Krajeńskie 2009.
19. Rymar E. Historia polityczna i społeczna Nowej Marchii w średniowieczu (do roku 1535), Gorzów Wielkopolski 2015.
20. Rudziński Z. Szlaki turystyczne gminy Strzelce Krajeńskie, Przewodnik turystyczny, Strzelce Krajeńskie 2014.
21. Zabytki Gminy Strzelce Krajeńskie, Strzelce Krajeńskie 2010.
22. Skaziński B. Lubuskie Carcassonne, Średniowieczne fortyfikacje Strzelec Krajeńskich, Strzelce Krajeńskie 2009.
23. Rowerem i pieszo – Gmina Strzelce Krajeńskie, Mapa turystyczna, Strzelce Krajeńskie 2015.
24. Foldery turystyczno – krajoznawcze – Gmina Strzelce Krajeńskie, komplet.
25. Kozak Ł. Upiór, Historia naturalna, Warszawa 2020.
26. Łysiak W. Mnisia Góra, Podania i bajki warciańsko – noteckiego międzyrzecza, Międzychód 1992.

KAMILA PAWŁUCKA-GÓRECKA

Kamila Pawłucka – Górecka urodziła się w Sanoku. Jest absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Tadeusza Brzozowskiego w Krośnie oraz Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Swoje prace prezentowała na wystawach zbiorowych i indywidualnych. Pracując jako nauczyciel plastyki, ma możliwość obserwacji prac dzieci oraz zdobycia bezpośredniej informacji od najmłodszych, co według nich czyni ilustrację ciekawą. W swojej twórczości kieruje się słowami: „od szczegółu do ogółu", ponieważ nagromadzenie szczegółów czyni ilustrację intrygującą.

MIROSŁAW WACEWICZ

Dawno, dawno temu…

Zdarzyło się gdzieś na początku lat siedemdziesiątych, ubiegłego wieku. W Szpitalu Wojskowym, mieszczącym się przy ulicy Piotra Skargi, przyszedł na świat niewielki chłopiec. Swym donośnym płaczem obwieścił wszystkim, że pojawił się na tym padole łez.

Później wszystko potoczyło się zwyczajnym trybem. Szybko minął wiek próżniaczy, pełen zabaw i radości. Zaczęła się szkoła i obowiązki przeplatane feriami i wakacjami.

Wpierw mieszkałem na Warszewie, która wówczas, mimo że należała do Szczecina, była jak wioska. Na polach pasły się krowy, konie, a gospodarze uprawiali ziemię. Następnie rodzice otrzymali przydział na nowe mieszkanie, na osiedle Słoneczne. Tu zaczęła się moja przygoda z Puszczą Bukową, którą do dziś odkrywam.

Wpierw jako harcerz, następnie prezes Klubu PTTK „Solartrakt" organizowałem różne spacery, rajdy, wyprawy. Wówczas to, m.in. zorganizowałem cykl rajdów pod wspólnym hasłem „Szlakiem Legend". Cieszyły się one dużą popularnością wśród dzieci i młodzieży. Obecnie jestem członkiem Klubu „Kniejołaza" zrzeszającego miłośników Puszczy Bukowej.

Kończyłem różne szkoły od podstawowej począwszy, przez zawodową, liceum wieczorowe, by na uniwersytecie zakończyć karierę naukową. Ukończyłem Uniwersytet Szczeciński, Wydział Humanistyczny, Instytut Historia i nabyłem prawo nauczania historii.

Historyków jest wielu, którzy wiodą spory, choć historia jedna. Z takiej to przyczyny, ja o wszystkim prawię jak o legendzie i dlatego zwą mnie Legendziarz.

Spełniam swe marzenia, zajmując się pisaniem i opracowywaniem podań. Do tej pory wydałem: Młyn Prochowy – Baśń; Legendy Ziemi Polickiej; Żelech, Zelechoua, Züllchow, Żelechowa: (legendarne opowieści z dzielnicy Szczecina); Kościoły Starego Szczecina, czyli legendy w gotyckiej cegle zaklęte. Jestem też współautorem Kolorowanki Szczecińskiej, którą wspólnie wydaliśmy razem z artystą Marcinem Yperytem Przydatkiem.

Jako przewodnik i organizator prowadzę różne rajdy, wycieczki, spacery. Docieram do miejsc, o których prawią legendy, odkrywając wraz z uczestnikami historię i przyrodę. Ukazuję ludziom piękno natury, opowiadając baśnie i legendy. Tak samo prawię o historii i innych sprawach, gdyż w każdej legendzie znajduje się ziarno prawdy.

Do zobaczenia na szlakach. Pozdrawiam – Legendziarz.

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu 5
Wiolonczelistka 7
Trucicielka 11
Artemida 15
Złote karzełki 17
Waśnie w świecie baśni 21
Strażniczka domowego ogniska 25
Miecz, który pokonał śmierć 28
Dęby z Dankowa 31
Potopłenyk 33
Kowal i jego psotni pomocnicy 35
Pokuta twórcy machin oblężniczych 38
Brzozy – zaklęte panny 41
Pociąg na sabat 45
Piwna opowieść 49
Tułaczka 53
Bal u Królowej Puszczy Barlineckiej 55
Okno umarłych 57
Krzywoprzysiężca 58
Ostatni obrońca 60
Historia jednego kościoła 63
Wehikuł Czasu 65
Gwiezdne ciasteczka 67
Ta, która wiedzę posiadła 69

ISBN: 978-83-66361-14-0